Nr. 59. Lwów — Wtorek dnia 12 Marca. Rok 1895.

Wychodzi w dni powszednie o godzinie 3 po południu z datą dnia następnego.

NUMER KOSZTUJE
we Lwowie . . . . . . 4 ct.
na prowincyi . . . . . 6 „
Num. z poprzednich miesięcy po 10 ct.

Wszelkie „Doniesienia prywatne“ jakoto o zaręczynach, ślubach, weselach, nabożeństwach żałobnych, pogrzebach, wszelkie nekrologi, opisy uczt i zabaw prywatnych, wszelkie reklamy dla balów, odczytów i koncertów, wszelkie spisy składek, doniesienia o zgubach lub o znalezionych przedmiotach it. d. i t. d. po 50 centów od wiersza.

PRZEGLĄD

POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata z przesyłką pocztową wynosi:
w kraju i w Austryi miesięcznie 1 zł. 10 ct.
w Niemczech „ 1 „ 50 „
w innych państwach „ 2 „ — „
Za zmianę adresu opłaca się 20 ct.
Opłatę należy nisłć równocześnie z żądaniem zmiany adresu.

CENY OGŁOSZEŃ
Zwyczajne ogłoszenia na czwartej stronicy:
Wiersz petitowy albo jego miejsce . . 10 ct.
W „Drobnych ogłoszeniach“ za każde słowo drukiem petitowym po . . . 2 „
zaś tłustym garmondem po . . . 4 „
Korespondencye prywatne za każde słowo drukiem petitowym po . . . . 4 „
Nadesłane na trzeciej stronicy:
Ogłoszenia, wiersz petitowy albo jego miejsce 30 ct
Reklamy . . . . 20 „
Nekrologia . . . . 20 „
Ogłoszenia do „Przeglądu“ przyjmuje „BIURO DZIENNIKÓW“ ul. Karola Ludwika l. 9.

Dziś: św. Grzegorza — Wasyłyja Ep. | Jutro: św. Rozyny i R. — 1 Marta. Ewd. | Adres Redakcyi i Administracyi: Ulica Sykstuska l. 45. | Naczelny Redaktor i Wydawca: Ludwik Masłowski. | Wschód słońca g. 6 m. 28, Zachód „ „ 5 „ 54 | Długość dnia g. 11 m. 26, Przybyło dnia od wczoraj m. 3

Ponieważ I kwartał ma się ku końcowi, przeto upraszamy naszych prenumeratorów z prowincyi o wczesne odnawianie przedpłaty. Wynosi ona z przesyłką pocztową na prowincyi:

Miesięcznie 1 zł 10 ct.
Kwartalnie 3 „ 30 „
Półrocznie 6 „ 60 „
Rocznie 13 „ 20 „

Za każdą zmianę adresu należy zapłacić 20 ct.

Przegląd polityczny.

Lwów 11 marca.

Sprawy skandynawskie, które zaczęły się wikłać pięć lat temu, doprowadziły Szwecyą i Norwegią do tego, że dziś te dwa państwa, złączone unią, gotowe są mieczem rozciąć swój zatarg. O tej możliwości otwarcie się mówi w obu królestwach i już się nawet czynią odpowiednie przygotowania. Oficyalną przyczyną sporu jest kwestya konsulatów, nieoficyalną, ale za to rzeczywistą, — republikańskie i separacyjne dążenia Norwegii. Gdyby nie one, sama kwestya konsulatów dałaby się łatwo rozstrzygnąć. Radykaliści norwezcy, zmierzając do republiki, postanowili przedewszystkiem pozbyć się wszelkiej państwowej łączności ze Szwecyą, która się wyraża wspólnością służby dyplomatycznej i konsularnej, oraz wspólnem ministeryum spraw zagranicznych, nadzorowanem przez radę, złożoną po równu z delegatów obu królestw. Po zerwaniu tej jedynej państwowej łączności, zostałby jeszcze tylko wspólny dom panujący, a taki łącznik już byłoby łatwo usunąć przy pierwszej sposobności. Rzecz naturalna, że na całkiem odrębne państwo norwezkie, któreby mogło zawierać sojusze jakie zechce, zwłaszcza z wielce dla Norwegów sympatyczną Rosyą, nie może się zgodzić Szwecya, bo to dla niej kwestya politycznego istnienia. Carat ma dwie skały, które od Piotra I-go niezmużenie kruszy, odrywając od niej bryłę po bryle. Są to Turcya i Skandynawia, a tu i tam cel jest jeden: swobodny wypływ na oceany z zamkniętych mórz Czarnego i Bałtyckiego. Jak od Turcyi oderwał carat ziemie kaukaskie, Besarabię, Krym, jak się przyczynił do powstania samoistnej Rumunii, Serbii, Grecyi i Bułgaryi, wszystko dlatego, aby tę skałę ottomańską rozsadzić i posiąść Bosfor i Dardanelle, tak od Szwecyi oderwał Estonię, Ingermanlandyę i Finlandyę, a kiedy na początku bieżącego stulecia Norwegia, wybiwszy się z pod panowania duńskiego, zawarła unią z Szwecyą, carat począł między Norwegami siać nasiona przyszłych niesnasek, agitował tam przez publicystów i powieściopisarzy, wspierał związki przyjaciół swoich, pozyskiwał kobiety i w końcu stał się tam popularny tak, jak naprzykład między młodo-czechami. Doszło już do tego, że przed dwoma mniej więcej laty bardzo liczni pisarze norwezcy rozwinęli agitacyę za ustąpieniem Rosyi północnego kawałka Norwegii, aby tam carat mógł sobie założyć port, otwarty wprost na Atlantyk. Nie stało się to jeno dlatego, że jakimś trafem znaleziono nitki, któremi z Petersburga kierowano ruchami rosyanofilów norwezkich, w skutek czego sprawa była skompromitowana. Odtąd całą wagę usiłowań rosyanofilskich skierowano ku rozbiciu unii skandynawskiej. Taka zupełna odrębność państwowa, jakiej się domagają radykaliści norwezcy, może pochlebiać narodowej dumie całej ludności, więc nic dziwnego, że nawet stronnictwa umiarkowane, których jest dwa: konserwatywne i środkowe, musiały przyjąć do swego programu wywalczenie odrębności konsularnej służby. Zresztą żądanie takiej odrębności jest dość dobrze umotywowane dla ludzi sądzących powierzchownie, a zatem dla ogółu norwezkiego. Powiedziano mianowicie, że Szwecya jest państwem przeważnie lądowem, Norwegia zaś morskiem; pierwsza ma niespełna 3000 handlowych okrętów, druga 16.000; ale pierwsza wywiera przemożny wpływ na wspólną dyplomacyę i służbę konsularną, więc mimowoli czyni to z lepszem zrozumieniem interesów własnych, niż norwezkich. A zatem rozdział dyplomacyi i konsulatów jest konieczny. Otóż w takiem przedstawieniu rzeczy umyślnie popełniono ten błąd, iż zapomniano o wspólnej radzie szwedzko-norwezkiej, która kontroluje ministeryum spraw zagranicznych. Gdyby źle kontrolowała, wytykanoby to nieraz w storthingu norwezkim, podnoszonoby w „radzie stanu unii“, zwoływanej co roku i obradującej pod osobistym kierunkiem króla, ale tego nigdy nie czyniono.

Taka jest treść tej sprawy. Spojrzmy teraz na jej przebieg. Radykalna większość storthingu dwa razy (1 marca 1892 i 17 marca 1893 r.) uchwaliła rozdział służby konsularnej, przyczem wyraźnie orzekła, iż na to nie potrzeba zgody szwedzkiej, a zatem ta sprawa nie powinna iść przed forum „rady unii“. Na to król nie mógł się zgodzić, bo unia jest kontraktem dwóch stron; Szwecya przyznała Norwegii w tym kontrakcie pewne przywileje celne i handlowe, które może zechce zmienić ze zmianą konsularnych urządzeń, a zatem sprawa musi pójść przed „radę unii“. O tę różnicę zapatrywań rozbiła się zgoda. Król nie ma prawa rozwiązać storthingu, ale może nie sankcyonować jego uchwał przez dwie kadencye i to właśnie uczynił. Przez cały ten czas Norwegia, jątrzona przez agitatorów, burzyła się coraz bardziej, radykalizm całkiem ją opanował, tak, że nawet umiarkowani musieli przyjąć do swego programu kwestyę konsulatów, słowem stało się tam zupełnie, jak w Czechach z tak zwanym „prawem państwowem“; Szwecya zaś zachowywała się obojętnie. Ale w listopadzie zaczęła się nowa kadencya storthingu, w nim zaś radykaliści zawsze stanowią większość, chociaż już nie tak liczną, jak poprzednio, ale to już nie ma znaczenia, odkąd umiarkowani przeszli na ich stronę w kwestyi konsularnej. Ponowiono tedy obie dawne uchwały i przez to odrazu postawiono sprawę ostro, bo już tej uchwały król nie może negować. Ale wtedy wzburzyła się Szwecya. Pisaliśmy niedawno, jakie groźne słowa padły w jej sejmie, gdy poruszono w nim żądania norwezkie. Król z następcą tronu i szwedzkimi ministrami przyjechał do Chrystyanii i wtedy zaczęły się mozolne rokowania z storthingiem, stojącym ciągle na tem stanowisku, że sprawa konsularna już jest nieodwołalnie zdecydowana i królowi pozostaje tylko zastosować się do przepisu konstytucyi o konieczności sankcyonowania jednobrzmiącej trzykrotnej uchwały. Daremnie król przedstawiał wodzowi większości Steenowi, że korona nie ma prawa łamać unii, która przecież także jest konstytucyą: storthing nie ustąpił. Wówczas król przesłał storthingowi orędzie, w którem oświadcza, że gotów jest oddać sprawę konsularną pod dyskusyę rady wspólnej obu królestw i uczynić zadość życzeniu Norwegii pod następującymi warunkami: 1) Storthing żadną uchwałą nie będzie się starał udaremnić lub utrudnić narad rady wspólnej, a więc cofnie postanowienia z 1-go marca 1892-go i z 17-go marca 1893 roku, albowiem niemi odrzucono kompetencyę tej rady; 2) ministeryum norwezkie natychmiast opracuje projekt organizacyi przyszłych konsulatów i przedstawi go do rozpatrzenia królowi, aby rada wspólna, mając przed sobą ów projekt, wydziała na co się godzi; i 3) aby równocześnie ministeryum norwezkie weszło w rokowania z szwedzkiem co do nowej organizacyi zarządu spraw zagranicznych, co oczywiście jest potrzebne ze względu na projektowany rozdział konsulatów. Na te warunki królewskie odpowiedział wódz większości Steen memoryałem, w którym powiada, iż korona widocznie nie może się pozbyć wyłącznie szwedzkiego poglądu na sprawę i dlatego zaleca sposób załatwienia rzeczy podkopujący powagę storthingu i zaprzeczający Norwegii prawa układania swych stosunków samodzielnie, bez odwoływania się do Szwecyi o pozwolenie, na co żaden Norweg nigdy się nie zgodzi, owszem od tej chwili wszyscy oni są jednego zdania, że trzeba do ostateczności bronić swych praw i niezależności ojczyzny.

Po tej odpowiedzi rokowania zerwano. Skończyły się słowa, zbliża się czas czynów. W szwedzkim sejmie wódz większości dr. Grape zawołał: „Znajdzie się wśród nas godny naśladowca Karola XIV-go i w razie konieczności pójdzie na czele zwycięskiej armii, aby z Norwegii zrobić nową Alzacyę!“. Jakoż, natychmiast sami deputowani zaproponowali powiększenie wojennego budżetu na nieprzewidziane potrzeby, a rząd zażądał uchwalenia „prawa rekwizycyi“, to znaczy prawa wezwania ludności, aby za zapłatę obowiązana była oddać do dyspozycyi wojska fury, mąkę, siano, owies itd. Te militarne przygotowania zapewne utemperują animusz norwezki.

Godne jest uwagi, że prasa rosyjska namiętnie bierze stronę Norwegii i przypuszcza, iż trójprzymierze zachęca Szwecyę do złamania niepodległości norwezkiej, aby w Skandynawii było jedno, ale za to silne królestwo, zdolne do akcyi zewnętrznej, oczywiście po stronie trójprzymierza. Ta prasa wyraźnie daje do zrozumienia, chociaż otwarcie tego nie mówi, że z Berlina po prostu zachęcono Szwecyę do zniesienia unii skandynawskiej i zawojowania Norwegii. Naturalnie, to podejrzenie jest zupełnie bezpodstawne.

———

W Stanach Zjednoczonych wzięto gorąco do serca powstanie na Kubie. Niezliczeni zwolennicy teoryi o Ameryce dla Amerykanów rozpisali składki na rzecz powstania, zaczęli okrętami posyłać broń, a w końcu przystąpili do formacyi legionu ochotników. Wszystkie kraje, zamieszkałe przez ludność anglo-saską, trzymają się zawsze reguły, że obywatele mają prawo sprzedawać broń i amunicyę każdemu, kto jej potrzebuje, bo to jest zwykły interes kupiecki. Więc też rząd waszyngtoński nie przeszkadzał zbieraniu składek i wysyłaniu na Kubę broni, a rząd madrycki nawet nie próbował daremnie protestować. Zapewne pamiętał, że niedawno gabinet londyński zdobył się tylko na ubolewanie, iż Anglicy sprzedają wojenne materyały Howasom madagaskarskim, będącym w wojnie z Francyą. Ale patrzanie przez palce na zbieranie się w Stanach Zjednoczonych legionu ochotniczego byłoby już niezaprzeczonym dowodem sprzyjania samego rządu waszyngtońskiego powstańcom na Kubie. Więc na przedstawienie madryckie odpowiedziano natychmiast z Waszyngtonu, że rząd energicznie położy kres tej akcyi, ochotnikom wyjechać nie pozwoli, w ogóle zaś zapewnia Hiszpanię o swej życzliwości. To oświadczenie, odczytane w kortezach i uzupełnione zapewnieniem prezesa gabinetu Sagasty, iż na życzliwą neutralność Stanów Zjednoczonych można liczyć, przyjęto z wielkiem zadowolnieniem, albowiem to daje pewność, że powstanie będzie pokonane. Natychmiast też uchwalono wojenny kredyt na korpus ekspedycyjny, który w tych dniach odpłynie z Kadyksu. Tymczasem powstańcom źle się powodzi. Już oni byli opanowali wschodnią część wyspy z miastami Mulas i Baire, lecz jenerał Aprich, przybywszy ze świeżemi wojskami, pobił ich i wparł w skaliste góry, gdzie im dokucza niedostatek żywności. W ogóle w Madrycie uważają, że teraźniejsze powstanie wkrótce się skończy.

Z Paryża donoszą, że w kościele w Clignancourt, podczas nabożeństwa, socyaliści zrobili wielki skandal. Kiedy kapłan skończył kazanie, jakiś socyalista krzyknął: „Proszę o głos!“ Modlący się wyrzucili go za drzwi. Wkrótce potem tłum socyalistyczny wpadł do kościoła z kijami i wrzeszcząc począł bić ludzi. Powstał popłoch, krzyk, płacz, trwało to jednak niedługo: mężczyźni rzucili się na awanturników, zgnietli ich i wyparli z kościoła. Bójka przeniosła się na ulicę i tu się dopiero okazało, że tłum socyalistyczny był dowodzony przez dwóch deputowanych Rouaneta i Sembata. Widocznie przybyli oni z Paryża umyślnie na tę burdę. Policya zachowała olympijski spokój, ale i bez jej pomocy socyalistom mocno się dostało, czego zaś żadna władza nie może zrobić nietykalnym deputowanym, to bez żadnej ceremonii zrobiła Rouanetowi i Sembatowi rozgniewana ludność: znaleźli się oni w rynsztoku, z potężnymi guzami na łbach warcholskich. Tem dla nich lepiej: będą odtąd bohaterami.

Korespondencye.

Wiedeń 7 marca.

Komisya rolnicza izby posłów obradowała wczoraj nad przesileniem w przemyśle cukrowym.

Kilku posłów czeskich broniło premii eksportowych, jako jedynego środka ratunku dla cukrownictwa. Inni członkowie komisyi słusznie podnieśli, że cukrownicy przez kilka lat tak wielkie mieli zyski, iż żądanie „ratowania“ ich wprost śmiesznem się wydaje. Zebrali bowiem dostateczne rezerwy, aby przetrzymać złe czasy. Dr. Marchet zauważył, że cukrownicy fałszywie wysuwają rolników jako zagrożonych. Rolnikom podniesienie premii nic nie przyniesie, owszem powiększy tylko ich ciężary, bo skarb państwa, wyrzucając 5—6 milionów rocznie dla cukrowników i popierając fabrykantów, musi tę sumę ściągnąć w jakiejś formie przez powiększenie podatków. „Jeśli Niemcy — dowodził dr. Marchet — podwyższą u siebie premie, to Austro-Węgry użyć będą musiały represalii“ Jakich represalii? oto pytanie. Nie powiedział nam tego p. Marchet, to też trudno odgadnąć, co miał na myśli. Gdyby Austro-Węgry były krajem, sprowadzającym cukier, to możnaby pomyśleć o podwyższeniu cel, utrudnieniu transportu i to byłoby represalią. Ale co mogą Austro-Węgry właściwie zrobić, aby przeszkodzić wywozowi niemieckiego cukru do Ameryki, Anglii, i do azyatyckiego wschodu, lub choćby do Serbii i Bułgaryi? Udzielanie specyalnych zniżek taryfowych eksporterom cukru mogłoby tylko w tej mierze być dozwolonem, żeby nie naruszało równowagi kosztów i dochodów kolei, czy towarzystw żeglugi użytych do transportu. Inaczej takie ulgi taryfowe byłyby znowu — niczem innem, tylko premią eksportową w innej formie.

Minister Plener dość jasno sformułował stanowisko rządu. Cukrownicy, ilekroć ceny spadają, płacą za buraki licho, a kiedy ceny cukru się podnoszą, rolnikom bardzo małe tylko przyznawają zwyżki. O solidarności interesów rolnika dziś mówić trudno. Podarku rządowego w kwocie 5—6 milionów nie może się chyba żadna gałęź przemysłu domagać, bo takiej sumy skarb nie wyda bez obejrzenia się za nowemi dochodami. Im więcej zresztą premii wywozowych się przyznaje, tem wyższą jest cena cukru w kraju, bo handlarz, mogąc wywozić cukier, nie chce sprzedawać towaru inaczej, jak za cenę na targu światowym zwiększoną o premię, którą przy wywozie otrzymuje. Premie pociągnęłyby zatem podrożenie produktu w chwili, kiedy jego konsumcya staje się coraz ogólniejszą potrzebą. Należałoby raczej życzyć sobie zniżenia premii wywozowych dziś już istniejących, poczem nastąpiłaby redukcya wyrobu cukru i uprawy buraków i cukrownictwo mogłoby się na naturalnych podstawach rozwijać.

Minister wierzy w to, że ceny cukru powoli się podniosą i wskazał na to, że w ostatnim tygodniu ceny z 10·80 doszły do 12 zł. (za 100 kil. surowca).

Polscy posłowie pp. Gniewosz i Czecz oświadczyli się również przeciw premiom i stanęło ostatecznie na tem, że ma być zwołana osobna ankieta celem rozpatrzenia stosunków produkcyi cukru.

Cukrownicy traktują sprawę nieco gorączkowo i nie można się temu nawet dziwić, bo chodzi im o wielkie sumy stracone w bieżącej kampanii, które nie tak łatwo dadzą się powetować w przyszłości wobec dzisiejszych warunków produkcyi i konkurencyi. Dla państwa jednak i dla ludności nie ma obawy, żeby przesilenie to zaszkodziło kredytowi ogólnemu lub sparaliżowało produkcyę rolniczą.

Przedewszystkiem mieliśmy już podobne przesilenie na targu cukrowym w roku 1884 i 1885—6 ze skutkami daleko większemi, niż dzisiejsze. W roku 1884—5 wynosiła produkcya cukru w Austro-Węgrzech 6,500.000 cent. metr, w r. 1885—6 spadła na 3,650.000 cent. metr., a więc o 44 pct.! Zamykano fabryki, tracono wielkie sumy, banki niektóre nawet likwidować musiały — a w dwa lata potem cukrownictwo na dawnej znowu stało wyżynie.

Mówią dużo o stratach rolników w skutek przesilenia. Owóż warto przypatrzeć się bliżej tej kwestyi. Wielką częśc buraków uprawiają zakłady fabryczne same, i to zakłady, których nie stworzyli rolnicy, tylko kapitaliści, bankierzy, chemicy, którzy wynaleźli nowe systemy wyrabiania produktu i t. d. Ale choćby całą sumę wartości buraków uwzględnić wypadało, to doszlibyśmy tylko do sumy 80—90 milionów zł., z której w najgorszym razie rolnicy musieliby w kampanii najbliższej stracić w całych Austro-Węgrzech 15—25 pct., bo takiego zniżenia cen żądają cukrownicy. A więc

KRONIKA NAUKOWA.

Nowy składnik atmosfery ziemskiej.

Kronikę dzisiejszą nawiązać nam wypada z poprzednią, w dalszym bowiem ciągu mówić mamy o niespodzianem i zdumiewającem odkryciu nowego gazu w otaczającej nas atmosferze. Odkrycie to nazywamy zdumiewającem — od stu lat bowiem z górą powietrze badane było przez cały zastęp chemików tak starannie i dokładnie, że nikt przypuszczać nie mógł, by jeszcze tajemnicę jaką ukrywać mogło. Ujawnienie jej tłomaczyć się daje jedynie wzmagającą się coraz ścisłością badań, coraz większą dokładnością przyrządów mierniczych.

Przypominamy tedy, cośmy w poprzedniej powiedzieli kronice, że dwaj uczeni angielscy, lord Rayleigh i prof. Ramsay, porównywając własności azotu, otrzymanego wprost z atmosfery, oraz oswobodzonego z różnych związków chemicznych, dostrzegli w nich pewną różnicę. Okazało się mianowicie, że azot z powietrza wydzielony jest nieco cięższy, litr bowiem, czyli kwarta gazu tego w warunkach normalnych, to jest pod zwykłem ciśnieniem atmosferycznem, waży 1,2572 grama, gdy ciężar podobnej objętości azotu „chemicznego“ wynosi tylko 1,2505 grama. Spostrzeżenie nasuwało więc domysł, że azot atmosferyczny nie jest zupełnie czysty i zawiera inny jeszcze gaz, od niego cięższy. Wezwawszy więc do pomocy środki, któremi chemik dzisiejszy rozporządzać może przy atakowaniu ciał przyrody, zmusili azot do ustąpienia, a pozostałość okazała się istotnie gazem nowym, nieznanym, o którym się chemikom nie śniło.

W pierwszej chwili nie sądzono nawet, by gaz ten mógł być odrębnym pierwiastkiem chemicznym, wydawał się on raczej pewną tylko odmianą azotu, innym jego stanem alotropicznym, jak mówią chemicy, podobnie jak i tlen istnieć może w pewnym stanie odrębnym, jako ozon. Gdy go wszakże osaczono zbliska, gdy poddano go próbom różnego rodzaju i znaglono do odpowiedzi na wszelkie pytania, zadawane mu jawnie lub podstępnie, nie mógł już dłużej natury swej taić i przedstawił się wreszcie chemikom we właściwej sobie postaci, jako nowy, różny i odrębny od innych pierwiastek chemiczny i do licznego ich grona przyjęty został pod nazwą „argon“.

Nazwa ta dałaby się wyłożyć przez „bezwładnik“ i wiąże się z osobliwą jego bezwładnością, czyli opieszałością chemiczną, bardziej bowiem, niż azot i niż którakolwiek ze znanych dotąd substancyj opiera się on działaniom chemicznym i do wstąpienia w jakikolwiek inny związek chemiczny skłonić go nie zdołano.

Dla tej też właśnie ociężałości swej mógł on tak długo przed napastowaniem chemików uchodzić, chociaż przed stu już przeszło laty, „najuczeńszy z bogatych i najbogatszy z uczonych“ Cavendish, dostrzegł, że po ustąpieniu z powietrza tlenu i azotu, pewna jeszcze resztka pozostaje, ale przypisywano ją zanieczyszczeniom, czyli domieszkom, które się podczas samego doświadczenia wdzierają.

Przez wszystkie zawiłości chemiczne, któremi udało się badaczom angielskim wydzielić argon z powietrza, nie możemy tu oczywiście czytelnika prowadzić i pobieżnie tylko opowiemy o metodach, któremi się posługują.

Wiadomo każdemu, że powietrze atmosferyczne jest mieszaniną gazową, złożoną, na wagę, w jednej czwartej części z tlenu, a w trzech czwartych z azotu, do czego przybywają jeszcze drobne ilości kwasu węglowego i pary wodnej. Z tej ostatniej można powietrze przedewszystkiem osuszyć, a kwas węglany zabrać się daje choćby potażem gryzącym, który się z nim chciwie łączy; tlen, zawsze do działania chemicznego gotów, również łatwo łączy się z tą lub ową substancyą i z powietrza ustępuje, pozostaje więc tylko azot, z którym trudniej daleko uporać się przychodzi. Zastosować się wszakże dała tu dawna metoda Cavendisha, polegająca na doprowadzeniu do powietrza większej jeszcze ilości tlenu i na przesyłaniu iskier elektrycznych przez tę mieszaninę gazową.

Pod takim przymusem elektrycznym tlen łączy się z azotem, czemu sprzyja obecność substancyi alkalicznej, która tworzący się kwas zabiera, pozostająca zaś jeszcze reszta gazowa jest już czystym argonem. Prędzej wszakże, i to bez pomocy elektryczności, działa magnes metaliczny, do czerwoności rozżarzony, który pochłania azot i tworzy z nim związek chemiczny.

Obu temi drogami oswobodzony argon ma własności jednakie. Jest to gaz od azotu półtora raza prawie cięższy, gdy bowiem, w porównaniu z wodorem, gęstość azotu wynosi 14, a gęstość tlenu sto, jest nowy ten gaz 20 razy od wodoru cięższy. W powietrzu znajduje się w ilości około jednej odsetki, w mierze zatem znacznie wyższej, niż kwas węglany, który, gdy występuje w powietrzu w stosunku jednej tylko dziesiątej części odsetki, czyni je już dla człowieka zabójczem.

W wodzie rozpuszcza się argon dwa przeszło razy silniej, aniżeli azot, zkąd wypada, że w powietrzu w wodzie rozpuszczonem jest on obfitszy, aniżeli w powietrzu swobodnem; pod tym zatem względem zbliża się do tlenu, który się w wodzie również znacznie lepiej, aniżeli azot, rozpuszcza, a to z wielką korzyścią ryb, oddychając bowiem skąpą ilością powietrza w wodzie zawartego, znajdują w niem przynajmniej w większej mierze pierwiastek czynny, do utrzymania życia niezbędny.

Aby wszakże otrzymać dowód stanowczy odrębności nowego gazu od innych pierwiastków, trzeba go było poddać jeszcze próbie ogniowej, to jest rozżarzyć go tak dalece, by go do świecenia doprowadzić, co uskutecznić można za pośrednictwem przebiegającego prądu elektrycznego. Każda substancya gazowa, płonąc, wydaje światło sobie właściwe, aby je zaś ściśle rozebrać, należy je rozłożyć, czyli rozszczepić za pomocą pryzmatu na składowe jego barwy. Taką więc analizę spektralną argonu przeprowadził znany badacz różnych objawów świetlnych, Crookes i wykrył, że rozszczepione jego widmo składa się ze znacznej liczby linij rożnych barw i jest stanowczo różne od widma wszelkich innych znanych substancyi, uznając tym sposobem, że badacze angielscy wprowadzili nowego towarzysza do rodziny pierwiastków chemicznych. Pewne właściwości tego widma, a zwłaszcza zmiana, jakiej doznaje, gdy zmienia się natężenie prądu, skłaniają Crookes'a do przypuszczenia, że może argon nie jest substancyą jednolitą, ale mieszaniną dwu jeszcze gazów, tak, że mielibyśmy tu do czynienia nie z jednym, ale z dwoma różnymi pierwiastkami; wniosku tego nie potwierdza wszakże inna jeszcze próba, którą znieść musiał argon, próba wręcz przeciwna poprzedniej, bo próba mroźna, mająca na celu rozpatrzenie, jak zachowywać się on będzie w temperaturach nader niskich, jakie dopiero w ciągu niewielu lat ostatnich nauczyła się wywoływać technika naukowa.

Wiadomo, że nie ma dziś już gazów trwałych, jak przed kilkunastu jeszcze laty mówiono, to jest gazów, któreby się skraplać nie dawały; najoporniejsze nawet, jak wodór, tlen, azot, a zatem i powietrze, uległy wreszcie przemocy i zamieniły się w ciecze pod działaniem potężnego ciśnienia, a zwłaszcza zimna nadmiernego. Badania te, rozpoczęte w Genewie przez Picteta i w Paryżu przez Cailleteta, ze szczególnem powodzeniem prowadzili w Krakowie prof. Wróblewski, oraz prof. Olszewski, a po przedwczesnej, niestety, śmierci pierwszego z nich, pozostał p. Olszewski najwybitniejszą w tej kwestyi powagą w świecie naukowym. Lord Rayleigh i p. Ramsay starali się sami skroplić gaz przez nich odkryty, jakkolwiek wszakże poddawali go ciśnieniu olbrzymiemu, dochodzącemu aż do stu atmosfer i oziębiali do —90° C., żadnego zgoła śladu skraplania nie dostrzegli; odwołali się tedy do pomocy profesora Olszewskiego i przesłali mu do Krakowa pewną ilość argonu, jak najstaranniej od wszelkiej domieszki azotu oczyszczonego. W jednej z poprzednich kronik mieliśmy sposobność przytoczenia metod, które służą do wywoływania niesłychanie niskich stopni zimna, tu więc przytoczymy tylko, że w pracowni krakowskiej działaniu tego zimna uległ argon i w temperaturze —187° C., pod zwykłem ciśnieniem atmosferycznem, zamienił się w ciecz bezbarwną. Tlen skrapla się w tych warunkach w temperaturze —182°, azot w temperaturze —194, nowy gaz zajmuje więc pod tym względem miejsce pośrednie między obu głównymi składnikami atmosfery naszej.

Prof. Olszewski wszakże nietylko zdołał gaz ten skroplić, ale go nawet zamroził w masę krystaliczną, do lodu podobną; przy silniejszem jeszcze oziębieniu argon zakrzepły staje się białym i nieprzezroczystym; kryształy argonu topią się w temperaturze —188°, punkt więc krzepnięcia jego przypada bardzo blisko punktu skraplania. Dodamy tu jeszcze, że azot skroplony krzepnie w temperaturze —214°; tlenu zaś dotąd na ciało stałe zamrozić nie zdołano.

Gdyby argon był mięszaniną dwu gazów, jak przypuszcza Crookes, ujawniłoby się to zapewne przy jego skraplaniu; każda bowiem z części składowych przechodziłaby w stan ciekły w innej temperaturze. Stateczność punktu topliwości i punktu wrzenia przemawia więc raczej za tem, że gaz ten jest substancyą jednolitą, jednym tylko pierwiastkiem chemicznym.

Jakie znaczenie posiada nowoodkryty składnik ten atmosfery naszej w ogólnem gospodarstwie przyrody: czy przypada mu w sprawie oddychania czynny jaki udział, czy zachowuje się obojętnie jak azot? jest dotąd tajemnicą i tajemnicą pozostanie, dopóki nie da się on do jakiegokolwiek działania chemicznego znaglić. O naturze bowiem danego ciała wnioskuje chemik ztąd tylko, jak się ono względem ciał innych zachowuje; substancya, którąby zgoła działaniom chemicznym nie ulegała, pozostałaby na zawsze zagadką niewyjaśnioną. Żadnej wszakże substancyi takiej chemicy dotąd nie napotkali, dlatego też sądzić wolno, że i argon nie będzie wyjątkiem z reguły powszechnej.

Odkrycie tego gazu nastręczało — jak widzieliśmy — znaczne trudności, a według dowcipnego wyrażenia lorda Rayleigha, jest ono tryumfem trzeciej cyfry dziesiętnej. Wyrażenie to zrozumiemy, jeżeli przypomnimy sobie przytoczone wyżej liczby 1,2572 i 1,2505, dające w gramach ciężar litra azotu atmosferycznego i azotu chemicznego. Różnica obu tych liczb występuje dopiero w trzeciej cyfrze dziesiętnej, a gdyby drobiazgu tego nie uwzględniono, argon pozostałby i nadal w utajeniu, z którego tak długo wydobyć się nie mógł. Ważność więc odkrycia tego, które bezpośrednio przyczyniło się i do nowej chwały nauki polskiej, na tem polega, że wskazuje potrzebę ścisłości w badaniach naukowych, i świadczy, że na tej właśnie drodze nauka dzisiejsza najwyższe swe tryumfy odnosi.

strata dla rolnictwa, jeśliby uprawiano tyle, c w roku poprzednim i jeśliby w całem państwie płacono o 25 pct. mniej, mogłaby wynosić najwyżej 20 milionów zł. Dziesięć razy tyle straciło rolnictwo na cenach zboża w ostatnim roku, a żaden fabrykant nie o ezwał się z tem, że należy bronić rolników. Owszem czytaliśmy i czytamy wciąż, że dzisiejsze ceny zboża są całkiem n turalne. Dlaczegoż nie miałyby one i dla buraków być „naturalnemi?" Okaże się, czy wieśniacy morawscy, wzbogaceni uprawą buraków, zechcą na warunkach dziś im dyktowanych w ogóle pracować dalej, czy też nie przerzucą się do uprawy innych roślin. Owóż tego właśnie, że to w części przynajmniej nastąpi, tam zwłaszcza, gdzie ceny buraków i w czasach dla fabrykantów świetnych były niskie i gdzie chłop nie ma wcale powodu uganiać się za zarobkiem z tej produkcyi — boją się fabrykanci i dlatego krzyczą, że bronią rolnictwa.

W Węgrzech wczoraj pięć fabryk w komitacie oedenburskim zgodziło się z rolnikami o dostawę buraków na przyszły sezon i naznaczyło cenę o 24 pct. niższą. Uprawia się tam buraki na przestrzeni 17.813 morgów, na których zebrano w roku ubiegłym 2,610.000 cent. metr. po cenie 93 zł. za centnar. Dochód z morga przeciętnie wynosił 139 zł. 17 ct., na przyszłość zaś wynosić będzie tylko 105 zł. 48 ct. Rolników zresztą trafia strata ta tylko w jednej części — bo ogromne obszary należą do fabryk — a z dochodem 105 zł. brutto od morga jeszcze jako tako pracować można! Zresztą w innych okolicach zniżyli cukrownicy węgierscy cenę tylko o 8 centów na centnarze tj. o 10—12 pct.

Z Ameryki.

Henryk hr. Łubieński pisze z Chicago pod datą 15 lutego:

W nowem orędziu do kongresu prezydent Cleveland przedstawia szereg środków, mających ratować rezerwę metaliczną skarbu federalnego i zapobiedz szybkiemu odpływowi złota do Europy. Środkiem takim na razie będzie pożyczka metaliczna 3 i pół procentowa, zanim izby prawodawcze nie obmyślą ostatecznej reformy systemu monetarnego Stanów Zjednoczonych.

Pożyczka taka w złocie znegocyowana już została w ilości 62 milionów dolarów, z których połowę pokrył przedstawiciel Rotszyldów, a drugą połowę rozebrał syndykat bankierów nowoyorskich. Trochę więc złota przybędzie do Ameryki z Europy.

Cleveland w swem orędziu obstaje za walutą złotą, zyskując tem przyklask kapitalistów Ameryki, lecz narażając sobie zwolenników srebra, t. j. większą część stronnictwa demokratycznego. Kto ma dług do opłacenia, wolałby go uiścić srebrem, a komu należność przypada — ten pragnie odebrać ją w złocie.

Cleveland znosi sarkania swoich stronników i gorzkie ich napaści. Lecz, jako wybraniec narodu a nie większości parlamentarnej, mało sobie z nich robi. Nie cofnąłby się przed burzą, jak Casimir Perier. W Ameryce zaciekłość walk politycznych bywa nieokiełznana. W tych dniach dwóch członków kongresu stoczyło bójkę na pięści w czasie posiedzenia izby, co prócz napomnienia od speakera, nie pociągnęło gorszych następstw dla zapalczywych dżentelmanów.

Statystyka urzędowa za rok miniony opiewa między innemi, że w r. 1894 stracono za zbrodnie 322 osoby; z tej liczby 132 na mocy wyroków sądowych, a 190 prawem lynchu. Stosowanie sądu ludowego, doraźnego, kwitnie więc bez przerwy w Stanach Zjednoczonych.

Zmarł w Nowym Yorku słynny p. Ward Mac Allister, od lat dwudziestu kierownik mody i dobrego tonu w Stanach Zjednoczonych. Stał się on wyrocznią w zakresie przyjęć, zabaw i innych funkcyj towarzyskich. Założył klub Czterystu, do którego weszło tyluż przedstawicieli najznakomitszych rodzin i na tem księga przyjęć zamkniętą została. Samostworzona w ten sposób arystokracya stała się bardziej wyłączną i wyniosłą, niż jakabądź oligarchia rodowa na świecie.

Mac Allister, spokrewniony z Astorami, rej wodził wśród plutokracyi amerykańskiej. Dawał u siebie sławne obiady, nie zapraszając na nie nigdy więcej nad ośm osób. Typowa ta osobistość znana była dobrze znakomitościom europejskim, zwiedzającym Amerykę.

W Los Angelos w Kalifornii obchodził niedawno Antoni Kątski wśród grona rodaków 80-letnią rocznicę ogłoszenia swej pierwszej kompozycyi muzycznej. Ukazała się ona w Krakowie 15-go stycznia 1815 r. kiedy kompozytor liczył 9 lat wieku. Autor „Przebudzenie się lwa" i tylu innych znanych kompozycyj, zamieszkuje Stany Zjednoczone od lat kilkunastu, ciesząc się wciąż względami publiczności amerykańskiej.

Przygnębiające wrażenie po obu stronach Atlantyku sprawiło zatonięcie „Elby" Towarzystwa Nord-deutscher Lloyd, płynącej z Bremy do New Yorku. Szczegóły katastrofy zapewne wam dobrze wiadome. Wiele rodzin amerykańskich pokryło się żałobą, gdyż większa część pasażerów z liczby 314 osób, które utonęły, byli to mieszkańcy Stanów Zjednoczonych powracający do domu.

Znam osobiście p. Karola Hoffmana, plantatora buraków cukrowych z Nebraski, który ocalał w liczbie 19-tu osób uratowanych na jedynej łodzi, jaką oszczędziły fale morskie. Powrócił on już do Ameryki i opowiada oburzające szczegóły o braku dyscypliny między załogą statku. Zamiast żeby ratować pasażerów i niewiasty, oficerowie i majtkowie pierwsi tłoczyli się do łodzi ratunkowych, spychając z nich słabszych.

Trzymając syna w objęciach, p. Hoffmann dosiadł łodzi, lecz wyrwano mu go z rąk i wrzucono do morza. Żona jego pozostała na pokładzie tonącego statku, i żegnając się z nim, wsunęła mu do kieszeni swój złoty zegarek. Głównie p. Hoffmann przyczynił się do wyciągnięcia z toni panny Anny Becker, która wypadłszy do wody z innej łodzi, uczepiła się silnie wiosła, lecz majtkowie odmawiali przyjęcia jej do siebie. Tak samo p. Verera z Cleveland, Ohio, trzeci z uratowanych pasażerów, musiał stoczyć bój na pięści z majtkami, którzy go spychali z łodzi do morza.

Z 19 ocalonych osób szesnaście należało do załogi okrętowej, co jedno już dowodzi tchórzostwa marynarki niemieckiej. Królowa angielska przyjmowała potem w Osborne pannę Becker, aby z ust jej posłyszeć opowieści strasznego wypadku. Na Elbie zatonęło dwóch urzędników poczt amerykańskich z 200 workami pełnemi listów. Ileż to listów z Niemiec i Rosyi nie odbierzemy nigdy.

Podobne wypadki bywają nieuniknione w mroku nocnym, przy mgle, jaka się trafia często w bliskości lądu. Ostatnie nieszczęście tego rodzaju dotknęło w 1883 r. jeden z transatlantyków hamburskich. „Cimbria" zatonęła wówczas skutkiem zderzenia z innym parowcem i poszła na dno z pasażerami i całą załogą. Żywa noga nie uszła i zginęło wtedy kilku znanych Chicagowian.

Byliśmy jeszcze pod wrażeniem katastrofy z Elbą, gdy gruchnęła wieść, że francuski statek „La Gascogne", Towarzystwa „Comp. Transatlantique", zaginął. „Gaskonia" wioząca 472 ludzi, powinna by zawinąć do portu nowoyorskiego najdalej za 8 dni po wypłynięciu z Hawru, t. j. 2 lutego. Tymczasem mijał dzień po dniu, a żaden ze statków, krzyżujących się po oceanie, nie napotkał jej w drodze.

Zapanowała groźna obawa, tem bardziej, że gwałtowny orkan szalał na Atlantyku w początku lutego. Cena ressekuracyi na towary, wiezione przez „Gaskonię", podskoczyła z ćwierci na 30 procent.

Wreszcie po dziewięciu dniach trwogi, t. j. 12 b. m. wieczorem, dzielna „Gaskonia" ukazała się u brzegów z trzema czerwonemi latarniami, sygnałem, że ma maszynę zepsutą, ale ją naprawiła i pomocy nie żąda. Wieść rozeszła się po New-Yorku lotem błyskawicy. Ludzie ściskali się na ulicach i płakali z radości. Pierwszy dotarł do „Gaskonii" parowiec prasy z reporterami. Czytaliśmy już nazajutrz w porannych dziennikach chicagoskich 13 bm. po 20 bitych kolumn z opisem całego przejścia, jak w czasie huraganu naprawiać trzeba było maszynę, która się dwukrotnie psuła, jak jedni mdleli, gotując się na śmierć, a drudzy grali spokojnie w pokera i t. d.

Gdy „Gaskonia" nad ranem zawinęła do przystani, spotkały ją tłumy ludu i witały radosnymi okrzykami. Ocalała między innymi pasażerami nasza pianistka, Szumowska, uczenica Paderewskiego. Dzielnego kapitana Baudelon noszono na rękach i ofiarowano mu w nagrodę medal złoty.

Z izby sądowej.

Cieszyn 9 marca.

(Rozprawa przeciw ks. Stojałowskiemu i wspólnikom).

Po przeprowadzeniu rozprawy trybunał przedłożył sędziom przysięgłym 39 pytań. Rozpoczęły się przemówienia prokuratora i obrońcy. Prokurator przemawiał trzy godziny. Po ostatecznych wywodach obrońcy zabrał głos ks. Stojałowski i również przemawiał przeszło trzy godziny, zbijając wywody aktu oskarżenia i prokuratora. Z powodu spóźnionej pory odroczono rozprawę. Jutro resumé przewodniczącego i wyrok.

Cieszyn 10 marca (telegram). Dziś popołudniu zapadł wyrok. Sędziowie przysięgli po długiej naradzie zatwierdzili niektóre z przedstawionych im pytań i na podstawie tego werdyktu trybunał skazał ks. Stojałowskiego za przekroczenie §fu 300 u. k. przeciw bezpieczeństwu i spokojności publicznej na cztery miesiące więzienia, Helenę Hemplównę i Józefa Szpytkę za współwinę w tym występku skazano na 1 miesiąc więzienia.

Karola Studenckiego zaś skazano za przestępstwo prasowe na 5 złr. kary. Obrońca dr. Kreisel wniósł, aby księdza Stojałowskiego wypuszczono za kaucyą z więzienia. Prokurator sprzeciwił się temu, gdyż wyrok nie jest jeszcze prawomocnym. Trybunał uchwalił odrzucić wniosek obrońcy.

KRONIKA.

Lwów 11 marca

Podziękowanie. W imieniu zarządu składam serdeczne podziękowanie panu Justynowi Mrozowickiemu za hojny dar 1000 zł., złożonych na ręce p. Wernerowej na rzecz budowy kuchni ludowej.

Marya Badeniowa.

Mianowania. Ministerstwo handlu zamianowało oficyała pocztowego Romualda Wilusza w Krakowie kontrolorem kasy pocztowej w Samborze.

Ks. kanonik Andrzej Mazurak mianowany dziekanem rz.-kat. kapituły lwowskiej.

Geometrą 1 klasy w VIII klasie rangi mianowany został p. Józef Gleitzman w Gródku.

Systemizowaną posadę stałej praktykantki w szkole im. Zimorowicza nadano pannie Maryi Dreherównej.

Ks. kanonik Jan Hausmann mianowany kustoszem rz.-kat. kapituły lwowskiej.

Przeniesienia. P. namiestnik przeniósł komisarza powiatowego Wiktora Łempickiego z Sanoka do Lwowa i przydzielił go do służby w Namiestnictwie.

Ze sfer adwokackich. Dr. Karol Schweizer, adwokat w Bursztynie, przenosi się do Lwowa.

Walne zgromadzenie Tow. oświaty ludowej odbyło się wczoraj po południu w sali bibliotecznej kasyna miejskiego. Obradom przewodniczył prezes dr. Hirschberg. W sprawozdaniu rozdanem zebranym na posiedzeniu członkom podniósł wydział, że rok ubiegły był mniej pomyślnym dla Towarzystwa od lat poprzednich. W roku zeszłym zakładał Wydział nowe biblioteczki w pierwszym rzędzie tam, gdzie warunki rozwoju były odpowiednie i gdzie ludowi polskiemu najbardziej groziło wynarodowienie. Największą liczbę biblioteczek założono w pow. czortkowskim. Przychody Tow. wynosiły 2.766 złr. 74 ct. Przystąpiono do wyborów. Prezesem wybrano ponownie dra Aleksandra Hirschberga; w skład Wydziału weszli pp. Julian Bykowski, Wojciech hr. Dzieduszycki, dr. Bronisław Gubrynowicz, Franciszek Kuczyński, ks. dr. Zygmunt Lenkiewicz, Władysław Schmidt, Karol Stanuchowski, dr. Jan K. Steczkowski. Do komisyi kontrolującej: Dr. Wilhelm Bruchnalski, Władysław Terenkoczy, Franciszek Żmudziński. Z porządku dziennego nastąpiły wnioski członków. Poseł dr. Skałkowski uczynił wniosek, ażeby nowowybrany wydział porozumiał się z zarządem towarz. „Kółek rolniczych", iżby lustratorowie „Kółek" w swych podróżach lustracyjnych badali także stan czytelni ludowych. Wniosek ten przyjęto jednogłośnie. Prof. Fiedler poruszył sprawę zachęcenia ogółu, ażeby w znaczniejszej liczbie przystępował do towarzystwa. W sprawie tej przemawiali pp. pp. Kuczyński, Amborski, Hirschberg, Skałkowski. Odnośną rezolucyę w myśl przemówienia prof. Fiedlera uchwalono. Na tem obrady zakończono.

Wczoraj rano w tej samej sali bibliotecznej kasyna miejskiego odbyło się walne zgromadzenie Towarzystwa dziennikarzy polskich. Pierwszym członkiem honorowym Towarzystwa mianowano p. Platona Kosteckiego. Prezesem Towarzystwa wybrano p. Liberata Zajączkowskiego, wiceprezesem p. Kazimierza Skrzyńskiego. Do wydziału weszli pp. dr. Adam Bieńkowski, Edmund Kolbuszowski, Karol Kucharski, Bronisław Laskownicki, Teofil Merunowicz, Aleksander Milski, Wacław Masłowski, Stanisław Schnür-Pepłowski i St. Rossowski; do komisyi rewizyjnej pp.: Adam Krechowiecki, Izydor Kuncewicz, dr K. Ostaszewski-Barański, dr. Aleksander Vogel i Kazimierz Zielonka. Nadto zgromadzenie upoważniło Wydział do mianowania dwóch delegatów Towarzystwa na Kraków. Ustępującemu prezesowi p. Merunowiczowi podziękowano za jego pożyteczną i wydatną pracę dla Towarzystwa a skarbnikowi p. W. Masłowskiemu za wzorowe prowadzenie ksiąg.

Konferencye rekolekcyjne ks. St. Załęskiego dla młodzieży wyższych zakładów naukowych rozpoczęły się wczoraj w kościele św. Mikołaja i trwać będą do soboty 16 t. m. codziennie o godz. 7 wieczorem. Wstęp za biletami bezpłatnymi, które dostać można w księgarni Seyfartha i Czajkowskiego.

Raut na dochód Tow. Pracy kobiet odbędzie się w salach Kasyna miejskiego we czwartek dnia 14 marca.

Stała delegacya III Zjazdu techników polskich ukonstytuowała się wybierając przewodniczącym prof. dra Skibińskiego, zastępcą inż. Kossutha z Krakowa, sekretarzami prof. Dzieślewskiego i p. Rollego. Delegacya przedłożyła sejmowi sprawę założenia stacyi doświadczalnej gorzelniczej i petycyę o dalsze prowadzenie głębokiego wiercenia na wzgórzu stryjskiem. Obecnie rozpatruje delegacya sprawę utworzenia jednolitej szkoły realnej i odpowiedni referat przedłoży Kołu polskiemu do poparcia w parlamencie.

Milionowy spadek. Ubogi kelner hotelowy w Berlinie, Polak Świtalski stał się nagle panem milionowej fortuny. Miał on brata Hieronima, który od lat kilkunastu zginął bez wieści. Owóż brat ów został adoptowany przez jakiegoś bogatego obywatela niemieckiego Kautza w W. Ks. Poznańskiem, odziedziczył po nim cały majątek i przyjął nazwisko swego dobroczyńcy. Wskutek też tej zmiany nazwiska, Świtalski nie mógł się dowiedzieć, gdzie brat jego przybywa. W tych dniach Świtalski-Kautze umarł bezdzietnie, a cały swój majątek zapisał bratu.

Dzieciobójstwo. Niejaka Emilia Zakrzewska, wolnego stanu, lat około 40-tu, przyjechawszy przed dwoma miesiącami do swej matki, pełniącej obowiązki gospodyni na folwarku plebańskim w Jaćmierzu, została matką; wyrodna matka dziecię swe zaraz po urodzeniu udusiła i wrzuciła do miejsca ustępowego. Przypadkiem znaleziono zwłoki dziecięcia 2-go b. m. a energiczne śledztwo posterunku żandarmeryi w Zarszynie już dnia 6-go b. m. odkryło zbrodniarkę, którą wraz z matką odstawiono do sądu w Sanoku.

Ze wspomnień o Auguście Cieszkowskim. Redaktor *Czasu*, Ludwik hr. Dębicki, opowiada w swojej książce „Z teki dziennikarskiej", jak się spotkał i poznał z wielkim filozofem:

Opiekuńczej przyjaźni Jerzego Lubomirskiego zawdzięczałem pierwsze zbliżenie do Augusta Cieszkowskiego.

Publikacya książki na zakrój historyozoficzny, ale o znamionach studenckiej próby pióra, była powodem, że książę Jerzy zapytał o zdanie tego, z którym go łączyło wspólne z Zygmuntem Krasińskim braterstwo dusz. Zbyt łaskawa i zachęcająca odpowiedź dała pochop początkującemu do podróży do Drezna.

Daremnie atoli pukałem kilkakrotnie do mieszkania hr. Cieszkowskiego w hotelu „Belle vue" nad Odrą w roku 1864. Miał on zwyczaj wówczas spać w dzień, a w nocy pracować i odwiedzać w nocy znajomych. Z bijącem sercem otwierałem drzwi, gdy o północy przyszło mi u siebie powitać jednego z koryfeuszów literatury i nauki polskiej. Wstęp do rozmowy nie był łatwy. Daremnie siliłem się na odpowiedni frazes powitalny. Śmiech urywany, nerwowy był z razu jedyną odpowiedzią. Potem dłuższa chwila milczenia. Późna godzina duchów i ta postać, co miała w sobie coś z widma, ta twarz o rysach sokratesowskich... ten śmiech, a potem milczenie, wzbudzało w młodzieńczej wyobraźni wrażenie zjawiska nadprzyrodzonego; jak gdyby na zaklęcie stanął duch milczący i szydził tylko z zuchwałości tego, co go wywołuje. Wreszcie Cieszkowski przemówił; i mówił długo, bo gdy mnie żegnał, była godzina czwarta z rana. W kulcie Zygmunta Krasińskiego wychowany, chwytałem każde słowo jego druha z zapałem. Autodydakt *vulgo* nieuk, czułem przepaść dzielącą mnie od dostojnego interlokutora, stojącego na szczytach wiedzy.

Nie znałem „Prologomenów", ani „Gott und die Palengenesie". Czytałem tylko „Ojcze nasz", a młodość o niczem nie wątpi, intuicyą dorabia to, do czego nie ma przygotowania. Na młodych wówczas padały ostatnie promienie wielkiej epoki poetów i filozofów polskich. Ci zwłaszcza, którzy — jak Krasiński i Cieszkowski — sięgali po za zagadnienia, dotyczące samej Polski, w sferę wszechludzką, w przyszłość świata, wydawali nam się następcami skrzydlatych husarzy i rycerstwa polskiego: bo jak tamci orężem, ci myślą przybywali z odsieczą chrześcijaństwu, nowe jego zwiastując tryumfy. Wszak oni głosili zwycięstwo Ewangielii w prawach i ustroju państw i narodów, zbliżenie Królestwa Bożego tu na ziemi, pojednanie wolności z Kościołem, wiedzy z wiarą, miłość wszystkich warstw, braterstwo wszystkich narodów, oswobodzenie wszystkich ojczyzn.

Prawda, że zachód tych słońc, gaśnięcie tych gwiazd zlewało się z łuną pożarów i pożogi, od których tem czarniejsza wkoło odbijała noc. Krwawy dramat, który właśnie się kończył za kordonem rosyjskim, miał prolog, jakby z „Przedświtu" lub „Resurrecturis", więc wątpić nie można było, że i epilog w tych księgach znajdzie rozwiązanie i niebawem jutrzenka zaświta...

W tym nastroju słuchałem autora „Ojcze nasz", a jakież było zdumienie, gdy potępiając nieszczęsny ruch, potwierdzał teoryę Napoleona III „inertiasapientia". Sen — mówił Cieszkowski dalej — jest koniecznym warunkiem utrzymania organizmu człowieka, więc bywa potrzebnym i zdrowym także dla narodów. Niedarmo Opatrzność wytrąciła Polskę z pośród narodów żyjących na to stulecie kupiectwa, przewagi materyalnej siły nad wszelkiem prawem, czci złotego cielca, sponiewierania wszelkiej świętości. Chciała nas Opatrzność uchronić od orgii zniszczenia, od bachanalii używania, od targu pogańskiego, od prostytucyi ducha. Gdy prześpimy to stulecie, zachowamy my jedni to, co inni w sobie zatracą: spuściznę duchową ojców i wiarę w przyszłość. Obudzimy się silni i zdrowi do działania w wieku dwudziestym, gdy zabłyśnie nowa era dla ludzkości. Utrzymujmy tylko normalne funkcye narodowego organizmu pracą ekonomiczną i pracą cywilizacyjną; to są drogi ducha. Lecz nie dawajmy na zewnątrz oznak życia, nie przypominajmy się światu, bo nas do reszty roztrąci; nie łączmy się ani z białymi ani z czerwonymi: tam szalbierstwo, tu pogaństwo i dzikie instynkta. Niech się dramat tego stulecia bez nas rozwiąże. My zachowajmy się na przyszłą epokę: *faisons les morts* (udawajmy umarłych), śpijmy, bierzmy poduszkę pod głowę.

Dosłownie niemal przytaczam zdania, bo spadły na mnie wówczas, jak paradoksy rozpaczliwe, to znów jak sentencyo mędrca. Dziś jeszcze nie wszystko do przyjęcia, a wiele do rozwagi podają te myśli. Ileżto razy wracały one w ciężkim zawodzie dziennikarskim, gdy chciano sztucznie budzić ducha i przypominać się światu kosztem reszty sił żywotnych, gdy „inertia sapientia" przedstawiała się jako jedyna droga przetrwania katuszy, a owe słowa „faisons les morts" jedynym sposobem odwrócenia owych zbirów, co na pobojowiskach chodzą dobijać rannych.

Czytelnia katolicka w Krakowie. Odnośnie do ogłoszenia krakowskiego Wydziału Towarzystwa oświaty ludowej z dnia 23go z. m., dotyczącego składek na czasopismo dla rzemieślników polskich, Wydział Czytelni katolickiej w Krakowie ma zaszczyt podać do wiadomości stron interesowanych, co następuje:

Myśl dobra i bardzo pożyteczna, podjęta w roku 1891 przez Towarzystwo oświaty, nie została należycie przez szerszy ogół popartą, a zebrany na ten cel za szczupły fundusz spoczywa w kasie Towarzystwa.

Myśl ta — wydawania czasopisma dla rzemieślników — pisma stać mającego na gruncie katolickim i narodowym, staje się obecnie czynem we Lwowie, gdzie poważne grono ludzi w marcu r. b, zamierza wydać okazowy numer takiego czasopisma pt. „Pochodnia". Tam jednak także nie zebrano jeszcze całości niezbędnego na ten cel funduszu i każdy zasiłek jest nader pożądanym.

Uprasza się więc tych, którzy ofiary swoje z Towarzystwa oświaty ludowej — w myśl wspomnianego ogłoszenia — odebrać pragną, by raczyli fundusik ten przeznaczyć na zasilenie wydawnictwa „Pochodni", a zamiary ich z r. 1891, zostaną w r. 1895 urzeczywistnione.

Pośrednictwa podejmuje się chętnie Wydział Czytelni katolickiej w Krakowie, ulica Podwale l. 1.

Sekretarz: *Szarski* — Prezes: *Scipio.*

Zmarli. Leopold Sacher Masoch, powieściopisarz, znany paszkwilant i wróg naszego narodu, umarł w majątku swoim Lindheim w Niemczech. Sacher Masoch urodził się w r. 1835 we Lwowie. — Jan Hoszczuk, obywatel m. Lwowa, zmarł w 72 roku życia. — Wincenty Skrzyński, właściciel dóbr, umarł w Krościenku pod Krosnem, przeżywszy 45 lat.

Stan powietrza. T. o 8 rano —3° R. w poł. +2 R. Bar. 764. Podnosi się. Pogoda.

Z humoru angielskiego.

„W tych dniach pewna młoda dziewczyna znalazła na drodze podkowę i wzięła ją z sobą do domu, aby położyć ją sobie, jako talizman, pod poduszkę. Nazajutrz rano wstała przed świtem i sięgnęła pod poduszkę, gdzie poprzedniego dnia włożyła razem z podkową sztuczne zęby. Włożyła sobie podkowę do ust i spostrzegła omyłkę dopiero wówczas, gdy zabrała się do słania łóżka...."

„W restauracyi gość do kelnera: — Proszę mi przynieść obcęgi. — Na co? — Chcę sobie nos ścisnąć przy jedzeniu tego sera..."

„Na dworcu w Derby ujrzano wczoraj tak maleńkiego człowieka, że gdy stanął na wadze automatycznej, wskazówka ani drgnęła. Cóż zrobił człowieczek? Zaskarżył przedsiębiorcę do sądu? Nie. Wlazł w dziurkę i odebrał swoją monetę pensową..."

„*A propos* automatów. Rzecz dzieje się na raucie. — Znów pani Klara zaczyna śpiewać! Ciekawym, co ją do tego skłoniło? — Rzuciłem jej monetę niklową pomiędzy łopatki — zwierza się pocichu synek gospodarzy domu..."

„Duchowny anglikański mówi kazanie. Nagle spostrzega, że 12-letni synek jego, siedzący na galeryi, bombarduje słuchaczy pestkami od wisien. Spostrzegłszy niezadowolnienie ojca, chłopiec woła: — Nie gniewaj się papo, ja ich tylko budzę, aby nie posnęli..."

„Jegomość siedzący w tramwaju do stojącej na platformie panny: Pani! ustąpię pani miejsca pod warunkiem, iż przysiężesz wobec wszystkich tu obecnych, iż nie uznasz tego za oświadczyny".

Z aforyzmów.

Każdy jest kowalem swego dobrego losu, ale tylko wówczas, gdy szczęście miechem porusza.

Zwierciadło jest jak przyjaciel: im dłużej się je ma u siebie, tem staje się prawdomówniejszem i — brutalniejszem.

Teatr. Dziś w poniedziałek „Łapownicy", komedya w 5 aktach A. Ostrowskiego. We wtorek „Aida", wielka opera w 5 aktach Verdi'ego.

---

7)

ILUZYA

OPOWIADANIE

przez *Zofię Kowerską.*

(Ciąg dalszy).

Jak lunatyk wróciłem do jadalnego pokoju i mięszałem łyżeczką herbatę w filiżance, zapatrzony w białość obrusa, sam nie wiedząc, co czynię i gdzie się znajduję. Nagle obok mnie, ozwał się słodki i spokojny głos Amelki:

— Dzień dobry. Ja już wracam ze spaceru. Pan lubi paprocie?

Pokazywała mi wiązankę paproci.

— Lubię! — odrzekłem roztargniony.

— To roślina legendowa... — zaczęła, ale już jej nie słuchałem i nie wiem, co miała do powiedzenia na temat legendowej rośliny.

Po chwili zwróciłem się ku niej:

— Muszę panią prosić o małą przysługę — rzekłem spiesznie i niecierpliwie. — Ciotka Ludwika wyjechała tak nagle, że żegnając ją, nie miałem czasu jej powiedzieć, że i ja także natychmiast opuszczam Górzyska. Niech pani raczy odemnie...

— Co? pan już wyjeżdża? Pani Ludwice będzie bardzo przykro. Wszak pan nie odebrał żadnego telegramu?

— Owszem, odebrałem! — odparłem, byle się jej zbyć i sam nie wiedząc, że kłamię.

Spokojne jej lazurowe oczy wyraziły niedowierzanie. Pożegnała się ze mną i odeszła obrażona.

A! tej zbyłem się przynajmniej na dobre!

Nie tknąwszy herbaty, kazałem spiesznie zaprzęgać, pakować rzeczy i wyjechałem.

Upłynęło parę tygodni, podczas których zdałem sobie nakoniec sprawę dokładnie z tego, co się ze mną działo. Poprostu, kochałem Zosię i to już nie jak dziecinny chłopiec, ale jak mężczyzna, czujący po męsku. To dziewczę, od którego mię ciotka odsunąć pragnęła, ja wybrałem sobie sam, bez żadnych swatów i chciałem ją wziąć za żonę.

Zosia była uboga, miała liczne rodzeństwo, byłem dla niej partyą, świetną partyą. Chodziło tylko o zdobycie jej serca. Ale miłość zdobywa je przecie, a ja miałem w przeszłości mej dowody, że kochanym być mogę. Trzeba mi tylko było postarać się o przywiązanie dziewczyny. Pojechałem znowu do Górzysk. Zastałem ciotkę samą. Przyjęła mię, jak zbawcę, bo się nudziła okropnie, jak to sama przyznawała.

— Wiesz co? — zawołała po chwili, jakby uczyniła wielkie odkrycie — ja poszlę Sochasię po Amelkę.

Śmiałem się z ciotki, wypraszałem się, manewrowałem, dopytywałem się o odległości, nareszcie jakoś, jak gdyby przypadkiem, wspomniałem o moim ostatnim pobycie w Górzyskach i o migrenach ciotki, wreszcie zapytałem:

— A podróż do Brzozowej nie zaszkodziła wtedy cioci?

— Ach! i owszem! Znowu ból głowy. Żałowałam, żem tę postrzeloną dziewczynę...

— Co? Nie dawała cioci spokoju?

— Ależ nie! Tylko żałowałam, żem ją tu przywoziła, bo danserek było dosyć.

— Siedzi teraz w domu?

— Wyjechała na Litwę. Umarła jej stryjenka, zostawiła małe dzieci i ona tam na parę miesięcy...

— Aa... będzie pielęgnować te sieroty?

— Tak, dopóki się nie znajdzie jaka nauczycielka z dobremi świadectwami.

Byłem zgnębiony. Na nic się nie zdał mój wyjazd do Górzysk. Czy ta dziewczyna co przeczuwała i uciekła odemnie, jak najdalej mogła?

Wróciłem do domu smutny bardzo, a ciągle o Zosi marzący. Kochane dziecię! Chciało sierotom oddać życie całe i rozpoczynało już tak wcześnie misyę swoję. Tę zakonniczkę, tę siostrę miłosierdzia ja koniecznie musiałem nauczyć miłości! Przebaczyć mi musi, pokochać mię musi, żoną moją zostać musi!

Ja sam wszakże tylko wiedziałem o tych moich zamiarach Kryłem się z niemi przed rodzicami, przed przyjaciółmi, jak ze zbrodnią. Nikt nie miał podejrzywać, że moją myślą jedyną była Zosia.

Bożo Narodzenie spędzałem zawsze u rodziców. Przyjechałem do Gałęzina w wilię wilii i nie zastałem rodziców w domu. Pojechali byli na parę godzin do staruszki, krewnej naszej, którą moja matka otaczała tkliwą troskliwością. Byłem zziębnięty, a że w saloniku matki był kominek, więc tam oczekiwałem powrotu rodziców, dokładając drewek do ognia. Rozgrzawszy się, machinalnie zbliżyłem się do biurka matki. Pod bronzowym psem, którego pamiętałem jeszcze z czasów niemowlęctwa, leżał stos listów. Począłem przeglądać adresy owych listów, poznając z pisma, czyją ręką położone były. Mój wzrok uderzyło pismo ciotki Ludwiki. Innym razem pismo to nie byłoby bynajmniej obudziło mojej ciekawości. Poczciwa ciotka pisywała listy tak bezładne! Ale teraz myśl, która mnie dzień i noc trzymała w swem posiadaniu, sprawiła, żem pożądał wiadomości z okolic Górzysk. Matka pozwalała mi czytywać wszystkie listy swoje; nie czując się więc bynajmniej niedyskretnym, wyciągnąłem list z koperty i czytałem:

„Kochana Maryniu!

„Jak się stary wróbel złapał na plewy, zaraz ci opowiem, ale mię taka niecierpliwość bierze, żebyś prędzej wszystko wiedziała, że mi się myśli plączą w głowie i słowa pod piórem. Otóż ja już dawno sobie ułożyłam, że ten cukierek Zosia Zbroińska zawróci głowę Władkowi, ale wiedziałam, że on taki podejrzliwy, jak lis, a boi się swatów, jak szczur trucizny. Więc mu ciągle chwaliłam tę nudną Amelkę Kierwiczównę, a to cnotliwa, a to święta, a to zacna, a to słodka, a to spokojna, a to tańczyć nie lubi i ma wstręt do balów i wieczorów. Takem mu tej Amelki dawała, jak mólom kamfory. Nareszcie na św. Ludwika przywiozłam sama Zosię, kazałam ją do stołu prowadzić Bolkowi; Władka jej nawet nie przedstawiłam. Władkowi wpakowałam Amelkę, a sama siedziałam, jak na węglach, jak na szpilkach i śledziłam, jak to tam pójdzie. Władek trochę rozmawiał z Amelką, ale jak ta szczebiot-Zosia się roześmiała, jakby kto posypał srebrne paciorki na stół, jak ją Władek zobaczył, tak już oczu od niej nie oderwał. Chodził potem za nią, siedział przy niej, a ja wciąż go do Amelki ciągnęłam. Bo to mężczyźni, ty wiesz jakie to dzikie stworzenia. Ciągnij go w tył, to ci się będzie naprzód wyrywał, prowadź go naprzód, pójdzie w tył. Po wieczorze chciałam mu niby Zosię z przed nosa zabrać i odwieźć ją do Brzozowej. On się nagle zrobił ogromnie czuły i troskliwy o moje zdrowie. *Nie pozwolił* mi zmęczonej i niewyspanej ruszać się z domu. Potem napadła na mnie migrena naprawdę, więc Władek miał swobodę. Sochasia mi mówi, że się bawił z Zosią, jak pierwszo-klasista. Radość aż mię dusiła, że to śliczne, miłe i dobre stworzenie podobało się Władkowi. Chwała Bogu! Połknął haczyk! O, połknął! We dwa tygodnie potem jest znowu w Górzyskach! I zachodzi, zajeżdża, krąży, aż nareszcie, niby tylko nawiasowo, zapytuje o Zosię. Nie ma jej! Mina Władeczka się przeciąga. No, nie ma!

„Naturalnie, że ona nic nie wie o moich projektach i zamysłach. Uciekłoby to, spłoszone, jak sarna. A byłoby nienaturalne. Nikt nie wie, prócz mnie i ciebie, w tej chwili..."

Nie czytałem dalej. Dość mi było tego, czegom się dowiedział. List odłożyłem na miejsce i wróciłem do kominka, na którym drewka przygasały.

Zwierzenia ciotki uczyniły na mnie przykre wrażenie. Jakiś niesmak pozostał mi po nich. Byłem pewien, żem kochał Zosię w zupełnej tajemnicy, że mi niczyje oko nie zaglądało do kryjówki ze skarbem, a przekonałem się, że ciotka Ludwika mię śledziła, że Sochasia znosiła jej plotki, że rodzice moi mówili już z sobą o tem całemi godzinami. To wszystko ogromnie mi popsuło obraz uroczy, który nosiłem w duszy. Ogarnęła mię złość na ciotkę i na przeznaczenie. Więc ja byłem skazany na to, by mię śledzono, by mi się we wszystko wtrącano, bym sobie nie mógł nawet szczęścia zbudować własnemi rękami i bym je musiał z cudzych rąk przyjąć gotowe, wygodnie przysposobione i naturalnie, już przez to samo sprofanowane! Czemu ja się musiałem dowiedzieć, że spotkanie moje ukartowała ciotka, że umyślnie dała dziewczynę do prowadzenia Bolkowi, umyślnie mnie nie prezentowała, umyślnie prześladowała mię Amelką, by mię tem pewniej oddać w moc Zosi? Czemuż mię wystrychnięto na łatwowiernego dudka, który był pewien, że udany jego niepokój o zdrowie ciotki wzięty będzie za dobrą monetę? Zażartowano sobie ze mnie, jak z dziecka, a ja, jak dzieciak, dałem się złapać w pułapkę. Byłem po prostu zły na ciotkę Ludwikę. Złość ta z początku nie rozciągała się aż do Zosi. Cóż ona była winna? Winna była tyle, co ja. Wszak ciotka wyraźnie mówiła, że kochane dziecko nic nie wiedziało, a ja miałem dowody, jak tę sarenkę łatwo było spłoszyć, skorom ją spłoszył na prawdę.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Literatura i Sztuka.

* **Opera.** Występ p. E. Colonese jako Carmen ściągnął w sobotę do teatru tłumy publiczności. Zjawienie się tej śpiewaczki powitano niemal z zapałem, wręczono jej kwiaty i darzono ustawicznie oklaskami. Obok niej zbierali liczne wyrazy uznania p. Kruszelnicka tudzież pp. Myszuga i Szymański. Sprawozdanie z przedstawienia umieścimy po dalszych występach tej wybornej śpiewaczki, z której przybyciem repertoar dozna zapewne korzystnej zmiany. *M. Sołtys.*

* **Teatr.** Szkoda, że debiutantki bardzo często wybierają sztuki, a w nich role, z których i wyrobiony talent aktorski nic nie potrafi zrobić. Tak było z wczorajszym występem panny Talko w „Barkaroli", jednoaktowym obrazku, który debiutantce nie daje pola do popisu. Panna Talko debiutowała w tej „Barkaroli" i grała rolę młodej żony starego męża. Debiutantka przedewszystkiem posiada istotnie piękny organ mowy o barwie głębokiej, niskiej, nadającej się bardzo do dramatycznych sytuacyi, a jakkolwiek widocznem było, że debiutantka jest zalękniona i głos przytłumiał się w piersiach, drgała jednak w nim nuta naturalna i szeroka. Sama deklamacya posiadała czyste kontury i unikanie powszednich efektów. Gra debiutantki w ogóle szlachetna, spokojna, nawet skromna, co jest rysem dodatnim, bo dowodzi unikania wszelkiego rodzaju szablonowej aktorskiej maniery. Wiadomo, że tak nazwanych „bohaterek dramatycznych" brak jest obecnie na wszystkich scenach; byłoby więc rzeczą wskazaną, żeby panna Talko wystąpiła w jakiej innej, wyrazistej i dobrze przez autora postawionej roli, aby się można lepiej przypatrzyć jej talentowi, który ona niewątpliwie posiada, i wskazać mu kierunek w pracy scenicznej. *Iks Ypsylon.*

* **Kronika teatralna.** Może gdy ujrzymy na scenie plon konkursu dramatycznego przez Wydział krajowy rozstrzygniętego, będziemy mogli powiedzieć, iż uratował honor naszej tegorocznej produkcyi dramatycznej. Większa część autorów dramatycznych milczy jak pod zaklęciem, a Bałuckiego „Ciepła wdówka", chociaż to rzecz bardzo sceniczna nie może znów odbierać najwyższych honorów dramatycznych. W ostatnich czasach pojawiły się dwie nowe sztuki polskie, z których „Kolejarze" 4-aktówka pp. St. Łąpińskiego i H. Michalskiego, oprócz dość zręcznej roboty ma znaczenie to, iż powstawszy na prowincyi, dla teatru kieleckiego napisana, dowodzi, że niektóre nasze teatra prowincyonalne puszczają się już na samodzielne drogi nawet pod względem pozyskiwania sobie nowego repertuaru. Drugą z owych dwóch sztuk oryginalnych jest „Cały los", 3-aktowy obraz sceniczny p. Rufina Morozowicza, wystawiony w warszawskim „Teatrze małym". P. Morozowicz jest operetkowym i krotochwilowym komikiem owego teatru, jednak jego sztuka nie ma wcale wiele komizmu szczerego, któregoby się po nim spodziewać można, jak wogóle nie odznacza się żadnemi zaletami, prócz tej jednej wspólnej wszystkim sztukom aktorskim t. j. nie złą budową i efektami scenicznemi. Treść jest taką, że państwo Bibińscy, mający sklep w Pułtusku, wygrywają „wielki los" i przenoszą się do Warszawy, aby używać życia. Opadnięci przez stado różnorodnych pasożytów, tracą rychło pieniądze i powracają do swej skromnej siedziby w Pułtusku.

W Paryżu na razie najważniejszym wypadkiem w świecie dramatycznym jest wznowienie „Teatru wolnego" Antoine'a. Na pierwsze przedstawienie wybrano „Elën", sztukę Filipa Viliers de l'Isle Adam, autora wielu oryginalnych sztuk, który zmarł niedawno niemal w nędzy. „Helena" napisana jeszcze w r. 1865 nie należy do najwybitniejszych utworów owego autora, mimo to treść tego dramatu nietylko romantycznego, ale przepełnionego gorzko-pesymistyczną symboliką, jest ciekawą i oryginalną.

W Dreznie, przed r. 1848, wśród sentymentalnych dam i spiskujących studentów osiedliła się nieznana awanturnica z Włoch, Elen, niesłychanie bogata i piękna, która porywała damom mężów i kochanków: każdym bawiła się dni kilka, lecz zabierała mu serce na zawsze. W drugiej odsłonie widzimy jak studenci sascy knajpują od trzech dni w gospodzie „pod herbem Drezna", oczekując swego wodza, wielkiego mistrza jakiegoś fichtowskiego „Tugendbundu". Wódz ten, baron Samuel Wissler, przybywa z dalekiej podróży, rozprawia z kolegą Goetzem o wielu wzniosłych rzeczach, daje się poznać jako idealista niezmiernie surowych zasad i, zasnąwszy na darninie, po obudzeniu znajduje się w objęciach Heleny, która uciekła z balu nudnego i męczącego, a przyszła za miasto szukać odetchnienia i znalazła w śpiącym młodzieńcu cel nowych zapałów.

Olśniony student, wielki mistrz, idzie za czarodziejką. Ona poi go rozkoszą w swym wspaniałym pałacu przez dni trzy, pragnie zostawić w jego sercu niezatarty obraz wieszczki jakiej, nieznanej mu z imienia ani rodu, pięknej duchem i ciałem; ale czuje, że zepsuta natura zwycięży w niej i na dłuższą miłość nie pozwoli. Rzeczywiście, po trzech dniach pieszczot, wśród uczty i win, każe ona swemu słudze Tannucciowi wsypać do kielicha Samuela proszek usypiający, a sługom odnieść uśpionego na darń przed gospodą, gdzie go znalazła. Tannucio jednak potem, idąc za rozkazem jednej z pokrzywdzonych przez Helenę, daje jej bukiet zatrutych róż i Kurtyzana na balu maskowym pada nagle martwa z bukietem róż w ręku. Tymczasem Samuel budzi się po długim śnie. Z początku jest przerażony, myśli potem, że to żart Maryi (tak nazywa Helenę), która lada chwila przyjdzie po niego. Opowiada z entuzyazmem o swem niebiańskiem szczęściu Goetzowi. Nagle, dzwony pogrzebowe coraz bliższe.

— „To chowają kurtyzanę — objaśnia Goetz — która padła martwa na balu maskowym: podobno ofiara zemsty i co dziwniejsza, w chwili, gdy chciała pozbyć się kochanka, podobno jakiegoś studenta... A piękna była!"

I w chwili, gdy pogrzeb wchodzi na scenę, Goetz pokazuje Samuelowi miniaturę zmarłej, którą ten poznaje. Na okrzyk swojego „konsula," studenci ze szpadami rzucają się na orszak; Samuel zrywa zasłonę z twarzy trupa: to jego Marya — kurtyzana! Przeklina jej przewrotność i rzuca na zwłoki kieskę pieniędzy, którcmi nie zdążył zapłacić jej za życia. Potem zdejmuje insygnia wielkiego mistrza, oddaje je kolegom, mówiąc, że splamiony nie jest ich nadal godzien — i odchodzi w daleką podróż, zostawiając we łzach poczciwą Gretę, dziewczę z gospody, które go skrycie pokochało.

W Londynie pojawiła się nowa sensacyjna premiera. Mianowicie wspominany już przez nas ekscentryczny autor, Oskar Wilde napisał sztukę, której już sam tytuł *The importance of being earnest* zawiera grę słów tak ulubioną przez Wildego. Tytuł ów bowiem znaczy: „Co to jest być poważnym!" ale ponieważ „earnest" poważny, wymawia się jak imię Ernest, więc dla słuchającego może się wydać, że sztuka ma tytuł: „Co to jest być Ernestem!" gdyż około tajemniczego Ernesta obraca się wszystko.

Jan Worthing, bogaty i młody kawaler, był znaleziony w czarnej, skórzanej torbie (a był wtedy niemowlęciem oczywiście), na dworcu Wiktoryi. Jakiś p. Cardrew, śpieszący wieczorem do domu, pochwycił tę torbę zamiast swojej, a kiedy odkrył pomyłkę, przyjął dziecko za swoje i dał mu nazwisko Worthing — bo tak się nazywa miejscowość podlondyńska, którą zamieszkiwał. Znajda odziedziczył po przybranym ojcu znaczny majątek i — został opiekunem jego bratanki Cecylii. Mieszkając z nią na wsi, John był bardzo poważnym i wzorowym, niezmiernie szanowanym przez miss Prism, guwernantkę Cecylii, oraz przez pastora. Ilekroć za to bawił w Londynie, był zgoła innym człowiekiem. Jednak ażeby uniknąć skandalu, nazywał się w Londynie „Ernestem Worthing", a w domu opowiadał, że miał w stolicy brata młodszego, Ernesta, wielkie ladaco. W Londynie zakochał się w ślicznej Gwendolinie Farfaix — ona zaś dlatego zakochała się w nim, bo... na imię mu było Ernest! Cecylia znów słysząc od swego młodego opiekuna o wielkim szałapucie Erneście Worthingu, zakochała się ogromnie na niewidome w tym Erneście... dlatego właśnie, że takim był nicponiem.

Akt pierwszy toczy się w Londynie, w eleganckich apartamentach Algernona Moncrieffe, kuzyna Gwendoliny. Znał on dotychczas „Ernesta", domyślił się teraz jego tożsamości z opiekunem Cecylii — a widząc, że się ta kocha w całkiem sobie nieznanym bohaterze przygód wielu, postanawia wyzyskać sytuacyę. Wyjeżdża więc nagle z Londynu, kiedy Worthing jest zajęty Gwendoliną, przybywa do jego domu na wsi, przedstawia się pannie Prism i Cecylii, jako skruszony i nawrócony Ernest Worthing — i dowiaduje się, że oddawna był kochany... Tu więc początek aktu drugiego. Tymczasem zaś John, starając się o Gwendolinę, postanawia dokonać dwóch rzeczy: przedewszystkiem położyć koniec istnieniu... „Ernesta", a równocześnie zjednać sobie matkę Gwendoliny, która sprzeciwia się związkowi córki, z rodem wywodzącym się tylko z torby. To drugie zadanie nie udaje mu się wcale; lecz będąc pewnym bogdanki, rozgłasza śmierć Ernesta i w żałobnem ubraniu wraca do siebie na wieś. Tu go wita pastor i miss Prism — a po chwili wchodzą ręka w rękę.. Cecylia z „oddawna ukochanym" Ernestem. Para ta nie wie o „zgonie nicponia" lecz John oznajmił wieść żałobną guwernantce i pastorowi — zachodzi więc scena kłopotliwa i komiczna. Kiedy następnie Cecylia zostaje sama w salonie, wpada... uciekająca od matki Gwendolina. Obie panienki wymieniają serdeczne tajemnice, każda zachwycona swoim „Ernestem" — obie są święcie przekonane, iż nie mogłyby kochać mężczyzny z innem imieniem Ztąd dwuznaczny tytuł sztuki. Gdy zaś za wejściem do salonu obu bohaterów, prawda się odsłania — panny rozpaczają, zanoszą się płaczem. Algernon i John proponują zmienić imiona, zostać naprawdę Ernestami. Wtem, w ślad za córką przybywa jej matka, hrabina — i rozwiązuje się przykra sytuacya. Okazuje się, że miss Prism, będąc przed laty boną u pani Moncrieffe, siostry hrabiny a matki Algernona, popełniła w roztargnieniu fatalną omyłkę: napisała była trzytomową powieść... i, dnia jednego rzuciła dziecię w torbę, a rękopis powieści do wózka! Okazuje się dalej, że dziecku było na imię Ernest, że więc Ernestem jest „John Worthing" i bratem Algernona. Przypomina on też, że przecie zawsze mówił, iż miał brata. Kończy się wszystko otwartemi zaręczynami trzech par — bo i panna Prism przyjmuje pastora. Dodajmy, iż sztuka błyszczy dowcipnym dyalogiem i mnóstwo ma momentów szczerze komicznych.

W Medyolanie znów wystawiono z wielkiem powodzeniem nowy dramat Cezara Pozzi pod tytułem „Tappeto verde" (Zielony stolik). Tytuł już objaśnia, że idzie tu o namiętność do gry w karty. Bohaterem jest młody hrabia Jerzy Fabiani, marnotrawca, który po utracie dziedzicznego majątku, goniąc resztkami, stara się odzyskać fortunę przy zielonym stoliku. Oczywiście traci i te resztki, postanawia więc skończyć rachunek z życiem. Wówczas jednak staje na jego drodze młoda, ładna i bogata kobieta, eksartystka, w której dawniej się kochał, a która dziś ofiarowuje mu dobrowolnie rękę i serce, pokochała go bowiem pomimo jego upadku. Wyjadą daleko i będą żyli szczęśliwie w miłości, zdala od świata. Fabiani dopiero teraz widzi, że tę kobietę kochał prawdziwie i dotąd ją kocha, ale duma nie pozwala mu dziś na przyjęcie tej ofiary; ostatecznie więc kończy kulą z rewolweru.

* **Wydawnictwo popularne.** Warszawa, nakład Gebethnera i Wolffa, 1895.

Dziesiąty to już tomik, o ile pamiętamy, tego wydawnictwa, o którem już parękroć wspominaliśmy jako o mogącem oddać wielkie usługi tym wszystkim, którzy systematycznem samokształceniem chcą uzupełnić swe wiadomości naukowe. Tomik ten stanowi „Geografia fizyczna" Archibalda Geikie, profesora mineralogii i geologii w uniwersytecie edynburskim, w przekładzie p. Józefa Morozowicza, kustosza gabinetu mineralogicznego w uniwersytecie warszawskim.

Rozmaitości.

— **Tworzenie się kropli w atmosferze.** Pod powyższym tytułem dr. Bock miał w monachijskiem Towarzystwie aeronautycznem bardzo zajmujący odczyt, którego streszczenie poniżej przytaczamy.

Atmosfera nasza jest przepełniona wilgocią, na każdym kroku spotykamy kroplę wody. Raz jest ona dla nas widzialną w postaci deszczu, w postaci mgieł i chmur, które powstają z milionów mikroskopijnie drobnych kropelek, to znów unosząc się w przestworzu jako para staje się dla nas zupełnie niewidzialną, jako gaz przeźroczysty. Wiedzieliśmy zawsze, że niewidzialna dla nas para, zmieniając się w krople, staje się widzialną, ale nie mogliśmy do niedawna odpowiedzieć na pytanie jak właściwie z pary powstaje owa widzialna dla naszego oka kropla, jakie warunki są potrzebne, aby ona powstała i rosła, a następnie napowrót znikła, znów przemieniwszy się w parę. Najnowsze dopiero badania naukowe wyświetlają po części tę zawiłą sprawę i oparci na nich możemy dać pewną na powyższe pytania odpowiedź.

Wiadomo nam, że każde ciało składa się z drobniuchnych cząstek zwanych molekułami; dalej wiadomo nam, że ciepło jest niczem innem jak ruchem tych drobniutkich cząsteczek. Ciało stałe wydaje się nam być zupełnie martwem, pozbawionem wszelkiego ruchu; lecz to tylko złudzenie, gdyż w niem wre raźne życie. Molekuły bowiem są w ustawicznym ruchu, a mianowicie każdy z nich krąży około pewnego stałego punktu. Inaczej się ma rzecz z ciałami płynnemi; tu molekuły krążą w najrozmaitszych kierunkach, nie trzymając się żadnego stałego punktu; przebiegają najrozmaitsze drogi, walczą o miejsca jedne z drugemi. Im wyższą jest temperatura ciała płynnego, tym ten ruch jest szybszy a równocześnie z podniesieniem się ciepłoty szybkość molekułów tak się powiększa, że odskakują one nawet od płynnego ciała i unoszą się w atmosferę. Mówi się wtedy, że ciecz owa paruje. Od macierzystego ciała molekuły te unoszą się w atmosferę w liniach prostych z szybkością wynoszącą przy normalnej temperaturze powietrza przeszło 600 metrów na sekundę, a więc z tą szybkością, z jaką pędzi kula wystrzelona z nowego 5-milimetrowego karabinu manlicherowskiego. Ta wielka szybkość nadaje molekułom pary wodnej wielką siłę, która ujęta w karby porusza maszyny, wiezie pociągi itd.

Ponieważ w atmosferze para wodna i krople wody zawsze się obok siebie znajdują, przeto są one ustawicznie niejako bombardowane przez molekuły wodnej pary. Kropla wody nie należy zaś do ciał silny dających opór zewnętrznym wpływom i dlatego też bijące w nią ze wszystkich stron molekuły pary w bardzo krótkim czasie mogą ją rozbić na drobniutkie cząsteczki. Twierdzenie to jest tem prawdopodobniejsze, że molekuły pary same już o żadno ciało więcej rozbić się nie mogą, bo są już tak małe, że według praw przyrody, na drobniejsze cząsteczki podzielić się w żaden sposób nie mogą. Jednak przeciw takiemu rozbijaniu kropel wody przez molekuły pary unoszącej się w atmosferze przyroda sama obmyśliła środek i opancerzyła niejako te krople, aby je uchronić od szkodliwego działania molekułów. Budowa kropli jest podobną do budowy kuli ziemskiej. Kula ziemska ma na powierzchni silną skorupę, tak samo też kropla. I u niej wiotkie i płynne jądro otoczone jest silniejszą i więcej zbitą powłoką wodną, pancerzem z wody, którego grubość za pomocą rozmaitych eksperymentów można oznaczyć i którego siłę oporu już oznaczono; 7 miligramów musi uderzyć na 1 milimeter, aby przerwać ten pancerz, który tworzy się wskutek wzajemnego silnego przyciągania się molekułów wody. Pancerz ten właśnie jest przyczyną, że krople wody nie tak łatwo zmieniają się w parę.

Nadto naokoło kropli wskutek wzajemnego molekularnego przyciągania się stworzoną jest pewna strefa, przeciw której szybko przelatujące molekuły wodnej pary nie są dostatecznie uzbrojone, jest to strefa działania siły przyciągającej kropli. Gdy molekuł pary zanadto się do niej przybliży, to chwyta go ona i swą objętość powiększa.

Bardzo charakterystycznem jest zachowanie się dwóch kropel względem siebie, a mianowicie kropli większej do mniejszej. Według prawa, odkrytego przez sławnego fizyka angielskiego Wilhelma Thomsona, nad silniej zakrzywioną powierzchnią płynu panuje silniejszy nacisk pary niż nad powierzchnią mniej skrzywioną. Wskutek tego też jeśli dwie krople znajdują się w pobliżu siebie, to para silniej zakrzywionej małej kropli wywiera silniejszy nacisk i jeśli kropla wielka znajduje się w pobliżu, to para z drobnej kropli do niej przypływa i obie krople się łączą. W taki sposób z małych kropel powstają wielkie; znając powyższe prawa, łatwo możemy zrozumieć dlaczego na gładkiej, t. j. bardzo mało zakrzywionej powierzchni, kropla nie może cieszyć się długiem życiem, lecz natychmiast z powierzchnią tą spływa. Wielkie krople więc pożerają małe.

Nie mniej charakterystyczny, ale teraz łatwo dający się wyjaśnić stosunek, istnieje między parą wodną a pyłem, który głównie pomaga parze w jej pracy około tworzenia kropel. Dokładne badania wykazały, że każda kropla wody ma w swem wnętrzu jedną cząsteczkę pyłku. Podczas gdy zupełnie wolna od pyłu atmosfera nie stawia żywo przebiegającym molekułom pary żadnego oporu, w atmosferze, przepełnionej pyłem, molekuły pary uderzając o cząsteczki pyłu, tracą na swej szybkości i cieniutką powłoką wody otaczają cząsteczkę pyłku. Skoro cząsteczka ta, która zawsze ma płaską powierzchnię, pokryje się cieniutką warstewką wody, zaczyna działać jako wielka kropla o mało zakrzywionej powierzchni i pożera wszystkie małe krople, które się do niej zanadto przybliżą. Na stokach Wezuwiusza np. z niektórych szczelin wydobywa się para, która zupełnie jest przeźroczystą. Aby zrobić ją widoczną, przewodnicy oprowadzający ciekawych zapalają w pobliżu nieco słomy i skoro dym uniesie się w powietrze, cała okolica pokrywa się natychmiast gęstą, nieprzeźroczystą mgłą. Są to kropelki wody, którym utworzenie się z pary wodnej, ułatwiono przez spalenie słomy i dostarczenie w dymie drobnych cząsteczek pyłu.

Przy tem mimowoli nasuwa się pytanie, czyby za pomocą tego prostego środka, służącego do wytwarzania z pary wodnej kropel nie można było wytwarzać dla pewnych okolic sztucznych deszczów.

Na pytanie to musimy odpowiedzieć twierdząco; lecz niestety, chociaż możemy z pary przepełniającej atmosferę utworzyć krople, to jednak nie mamy żadnego środka, za pomocą którego moglibyśmy te utworzone krople ściągnąć na ziemię. Prądy w atmosferze i wiatr dołożą starań, by — jeśli istotnie ze sztucznie utworzonych kropel spadnie deszcz — deszcz ten spadł gdzieindziej, a nie tam, gdzie go pożądano i gdzie go sztucznie chciano wywołać.

Pierwej sądzono, że małe kropelki wody wiszą nieruchome w atmosferze. Najnowsze badania stwierdzają atoli, że kropelki te spadają z szybkością czterech milimetrów na sekundę. Naturalnie, że to powolne spadanie wskutek najlżejszego ruchu w powietrzu może zmienić swój kierunek i krople zamiast spadać, gnane podmuchem wiatru, mogą się podnosić. Wskutek tego też te małe kropelki, które w lecie mają 0.014 milimetra średnicy, w zimie zaś 0.021 milimetra, są w ustawicznym ruchu: to spadają, to się podnoszą. Podczas tych ruchów wielkie krople pochłaniają małe. Zbierze się tych wielkich kropel dużo, to utworzy się chmura, a potem już od stosunków temperatury i nasycenia wilgocią danego miejsca zależy, czy krople te, tworzące chmurę, spadną na ziemię w postaci deszczu, czy to znowu rozproszą się, zmieniwszy się w parę. Gdy kropla spada na ziemię i przebiega przez zupełnie suchą warstwę powietrza, która ułatwia jej parowanie, to wskutek szybkiej utraty ciepła utajonego na zamianę wody w parę kropla może zamarznąć i jako grad spaść na ziemię. Jeśli takie zamarznięte krople spadając przebiegają przez chmurę, to powstaje tarcie między lodem a wodą. Tworzy się więc dodatnia i ujemna elektryczność i według twierdzenia profesora dra Sonneckena wówczas następuje burza.

Widzimy więc, że zakres działania kropli w atmosferze jest bardzo szeroki. Nie należy jednak zapominać o tem, że z każdą na ziemię spadającą kroplą spada także cząsteczka pyłku, a więc kropla i pod tym względem spełnia w przyrodzie hygieniczne zadanie.

Część ekonomiczna.

Wiedeń 9 marca.

(Z.) Cały szereg bilansów bankowych, ogłoszonych przedwczoraj, nie wzmocnił ani na włos pozycyi naszej giełdy, jakkolwiek ogółem wziąwszy, bilanse te są pomyślne. Wszelako dyrekcye banków stanęły na zupełnie innem stanowisku, aniżeli spekulanci, starają się bowiem o to, ażeby dywidenda była o ile możności stałą i aby akcye bankowe nabrały bodaj częściowo charakter papierów lokacyjnych. Dlatego też wszystkie banki bez wyjątku z zeszłorocznych zysków poprzenosiły na rachunek roku bieżącego tak ogromne sumy, że można było niemi podwyższyć dywidendę o 2 lub 3 zł. To irytuje spekulantów, to też wczoraj mieliśmy znów bardzo znaczną zniżkę. Nadto wtajemniczeni w zakulisowe tajniki giełdy spekulanci, a także wszyscy dyrektorowie banków wiedzą dobrze o tem, że onegdajsza rozpłata zobowiązań nie rozwikłała wcale zawiłej sytuacyi naszej giełdy i że owi trzej spekulanci, którzy zbankrutowali i których nazwiska wywieszono na czarnej tablicy, były to tak podrzędne figury, że czy oni będą dalej na giełdzie, czy nie, to nie może to wywrzeć najmniejszego wpływu na dalsze ułożenie się kursów. Natomiast owi wielcy spekulanci, rzucający się w tak szalone operacye, że chyba tylko ze słynnym amerykańskim awanturnikiem giełdowym Jay Goulden porównać ich można, ci są dalej na giełdzie i nie rozwikłali swych zobowiązań, lecz po cichu porozumieli się ze swymi wierzycielami. Gdyby jednego z nich wywieszono na czarnej tablicy, wtedy dopiero nastałby sądny dzień na giełdzie, a ta ewentualność wciąż jeszcze grozi. Opowiadają, że jeden z tych spekulantów, jeden jedyny człowiek, zaangażowany jest à la hausse, na dwieście tysięcy sztuk rozmaitych akcyi i w dniu rozpłaty powinien był wyrównać różnice wynoszące 4 miliony reńskich. Tę sumę on wciąż jest dłużny, tylko przedłużono mu po cichu termin jej zapłaty. Jeżeli w ciągu marca będzie znaczna haussa, to oczywiście spekulant ów rozpłaci się i wszystko będzie w porządku, ale jeżeli haussy nie będzie? to jeszcze jeden krach czeka giełdę. Jeżeli porównamy notowania dzisiejsze z kursami z ubiegłej soboty, to zobaczymy, że kursa wszystkich spekulacyjnych papierów w ciągu tego tygodnia dalej się obniżyły, a zniżka ta w niektórych walorach, jak n. p. w akcyach austryackiego zakładu kredytowego dochodzi do 20 zł.

Ostatnie notowania:

Kredyty austr. 390·50, węgierskie 456·25, Anglobanki 169·75, Uniony 313.75, Bankvereiny 154.50, Länderbanki 286.—, Ludwiki 221·25, Czerniowieckie 306·50, Elbathale 274·25, Renta papierowa 101·15, srebrna 101·25, austryacka złota 125·—, 4% austr. renta wal. kor. 101·20, węgierska złota 123.85, 4% węgierska renta wal. kor. 99.20, dukat 5·80—, 20-frankówka 9·79½, marki 12·07, ruble 1·32.

§ **Sprawozdanie z targu zbożowego na Kleparzu.**

Kraków 8 marca.

Podczas gdy w Austro-Węgrzech ruch zwyżkowy dalsze robił postępy, targi zachodnio-europejskie i Ameryka zachowują się dotąd spokojnie. Na targach krajowych panuje tymczasem usposobienie stałe, a przyczyny, które dały do tego powód, nie zostały usunięte. Ostre zimowe powietrze trwa bez przerwy, a w Węgrzech zaczynają się nawet obawiać o zasiewy, gdyż po chwilowych roztopach ziemia zmarzła na nowo. W obec tego zarówno konsumcya, jak i spekulacya opuściły dotychczasowe wyczekujące stanowisko, a wskutek ożywionego pokupu tak zboże jak mąka poszły w górę. Swoją drogą Galicya w ruchu zwyżkowym stoi na czele i gdyby ceny podnosiły się nadal w tym stosunku, to niebawem zboże węgierskie będzie u nas szukać odbytu, bo mąka węgierska już teraz silną robi konkurencyę naszym młynom. Na dzisiejszym targu sprzedający stawiali żądania znacznie wyższe, które jednak tylko w części zdołały się utrzymać, tak, że pszenica zyskała 10—15, żyto 5—10 ct. Obroty były w ogóle nie wielkie.

Płacono pszenicę białą 7·30 do 7·80, czerwoną 7·25 do 7·75, żółtą 7·25 do 7·75, żyto 5·85 do 6·25, jęczmień browarny 6·00 do 6·50, na kaszę 5·30 do 5·80, owies 5·80 do 6·50 zł., rzepak —·— do —·—. Koniczyna czerwona 50 do 75, biała —·— do —, tymotka 30·— do 40·— zł., wyka 5.75—6.25; bób 0.00—0.00 zł. Wszystko za 100 kilogramów.

Bank galicyjski dla handlu i przemysłu.

Telegramy „Przeglądu".

Wiedeń 11 marca. Na wczorajszem posiedzeniu Koła polskiego urgował p. Popowski prezydyum, aby postarało się u rządu o rychłe przedłożenie ustawy o kolejach lokalnych i regulacyi rzek. Prezes Zaleski oświadczył, że jeszcze nie nadeszły do Wiednia odnośne ustawy uchwalone przez Sejm galicyjski. Następnie p. Sokołowski interpelował, w jakiem stadyum znajduje się sprawa reformy wyborczej, na co prezes odpowiedział, że nie może dać wyjaśnień, gdyż obrady subkomitetu są poufne. Na wniosek p. Chrzanowskiego uchwalono prosić ministra wojny, aby użył korpusu pionierów do rozsadzania lodów na Wiśle i Sanie. Memoryał lwowskiej izby adwokatów w sprawie procedury cywilnej uchwalono przesłać odnośnej komisyi parlamentarnej. Następnie p. Weigel zawiadomił Koło, że w obec uchwały Sejmu, żądającej uchwalenia bez zmiany rządowego projektu ustawy o swojszczyźnie, złoży poruczony mu referat tej ustawy, gdyż nie sądzi, aby można było przeprowadzić tę ustawę bez żadnych zmian. Gdy pomimo nalegań p. Weigel rezygnacyi swej cofnąć nie chciał, przyjęło ją Koło do wiadomości. Następnie debatowano dalej nad reformą podatków i uchwalono zaproponować kilka poprawek, których ułożenie poruczono pp. Dawidowi Abrahamowiczowi, Czeczowi, Jędrzejowiczowi, Pinińskiemu i Szczepanowskiemu.

Ateny 11 marca. Tutejszy poseł rosyjski udał się na wyspę Corfu, dokąd dziś przybędzie następca tronu, wielki książę Jerzy, który stamtąd uda się wprost do Algieru.

Messyna 11 marca. Wczoraj było tu trzęsienie ziemi, lecz nie zrządziło żadnej szkody.

Sofia 11 marca. Wszyscy robotnicy w tutejszych drukarniach urządzili bastówkę.

Grac 11 marca. Przed sądem tutejszym rozpoczął się dziś proces przeciw Ignacemu Mayerowi, który popełnił rozmaite oszustwa. Mieszkał on od roku 1893 już to w Gracu już to w Salcburgu pod nazwiskiem dyrektora Koppenheiera, potrafił wkręcić się w najlepsze sfery towarzyskie i zjednać sobie zaufanie tak, że go zamianowano dyrektorem wychodzącej w Salcburgu gazety *Fremdenzeitung*. Mayer urodził się w okolicy Temeszvaru. Ojciec jego był chirurgiem i wraz z żoną i synem przeszedł z judaizmu na religię chrześcijańską. W Peszcie pracował Mayer w redakcyi kilku dzienników, a następnie wydawał w Wiedniu pismo pod tytułem *Katholische Gesellschaft*. Na czele tego pisma figurował napis „Naczelny redaktor Arno Mayer odznaczony błogosławieństwem Ojca św. Leona XIII." Głównym celem tego pisma było reklamować pewien handel przyborów kościelnych, którego właścicielami byli żydzi.

W Wiedniu popadł Mayer w kolizyę z sądem, skazany został na rok ciężkiego więzienia i wydalono go z Przedlitawii. Następnie wypłynął Mayer w Peszcie, a później w Paryżu, wreszcie w Monachium, gdzie wydawał gazetę p. t. *Frauenheil*, która stała w bliskich stosunkach z pewnym handlem mebli. Od roku 1893 mieszkał Mayer przeważnie w Gracu w hotelu „pod słoniem", prowadził życie bardzo wystawne i wyłudzał towary i pieniądze, od kogo tylko się dało.

Peszt 11 marca. Dziennik *Budapester Correspondenz* donosi, że izba magnatów zbierze się 20 marca celem załatwienia budżetu, a następnie weźmie pod obrady dwa niezałatwione jeszcze przedłożenia kościelno-polityczne.

Obawa powodzi zmniejsza się. Od wczoraj spada woda w Dunaju i we wszystkich jego dopływach.

Wiedeń 11 marca. Wczoraj odbyło się tu zgromadzenie wszystkich przemysłowych i kupieckich korporacyi i stowarzyszeń z Wiednia i z prowincyi. Udział w niem wzięło przeszło 2000 uczestników, między nimi posłowie Liechtenstein, Lueger, Schlesinger, Polzhoffer, Hauck, Schneider, Hofmann-Wellenhof, Laginja i Kronawetter. Przebieg zgromadzenia był chwilami burzliwy. Uchwalono udać się do rządu i do Rady państwa z prośbą o zupełne zakazanie handlu obnośnego w jakiejkolwiek formie.

Jak co roku, odbyła się także wczoraj demonstracya robotnicza na grobie poległych podczas rozruchów w dniu 8 marca 1848 roku. Około 15.000 robotników zebrało się po południu na cmentarzu centralnym. Na grobie poległych złożono kilkadziesiąt wieńców i wypowiedziano kilka mów. Następnie szeregami odbyli robotnicy pochód do miasta. Wieczorem 2000 robotników w zwartych szeregach, śpiewając pieśni robotnicze, przeciągało przez Ringstrasse. Przed gmachem Rady państwa zastąpiła im drogę policya i skłoniła ich do rozejścia się. Wśród okrzyków „Dawajcie prawo wyborcze", „Precz z kapitalistami" — rozeszli się robotnicy na wszystkie strony. Zajścia nie było żadnego.

Petersburg 11 marca. Dzisiejszy dziennik urzędowy ogłosił nominacyę ks. Łobanowa ministrem spraw zagranicznych.

Nadesłane.

Rubryka ta nie pochodzi od Redakcyi, nie bierze też ona za nią na siebie żadnej odpowiedzialności.

Lwów dnia 10 marca (Z Izby handlowej).

Akcye za sztukę: Kolej gal. Karola Ludwika 200 zł. m. k. 220·— do 223·—, Kolej Lwowsko-Czern.-Jasska po 200 zł. w. a. 308.— do 311·—, Banku hypotecznego po 200 zł. w. a. 455.— do —.—.

Listy zastawne za 100 zł.: Banku hipot. galic. 5 proc. los. w 40 lat. 101·30 do 102·—, 5 proc. z 10 proc. prem. 110·30 do 111·—, 4 i pół proc. los. w 50 lat. 100.40 101·10, Banku kraj. 4 i pół proc. los. w 51 lat. 100·80 do 101.50, Banku kraj. 4 proc. los. 57 lat. 97·50 do 98·20 Tow. kred. gal. ziem. 4 proc. (I emisya) 98·50 do 99·20, 4 proc. los. w 41 i pół latach 98·— do 98·70, 4 proc. los. w 56 lat. 97·80 do 98·50.

Obligi za 100 zł.: Gal. fund. propinacyjnego 4 prc. 97·90 do 98·60 Bukowińskiego fund. propin. 5 proc. 102.50 do —.—, Kom. Banku kraj. 5 proc. (II emisyi) 102.00 do 102·70 Pożyczki kraj. 6 proc. 105·50 —·—, 4 pół proc. 100.50 do 101.20, 4 proc. z r. 1891 97.70 do 98·40, 4 proc. po —·— koron z roku 1893 98·— do 98·70.

Monety. Dukat cesarski 5·78 do 5.88, Napoleondor 9.75 do 9.85, Półimperyał 10.10 do —.—, Rubel rosyjski srebrny czy papierowy 1.28 do 1.33, 100 marek niemieckich 60.20 do 60·70.

Wiedeń 11 marca (godz. 11 w połudn.) Kredyty 391.75, kred. węg. —.—, Anglobanki 169.75, Uniony —.—, Bankvereiny —.—, Länderbanki 287.10, Akcye tytoń. 253.50, Staatsbahny 398.—, Lomb. (z kup.) 109.75, Elbethale —·—, Renta pap. —.—, Renta węg. 4% kor. —.—, Renta węgierska złota 4% —.—, Alpiny —·—, Marki 60.47, Losy tureckie —.—.

47)

OSTATNI WYROK

POWIEŚĆ

MAKSWELLA GRAYA.

Tłómaczyła z angielskiego baronowa Zofia Hartingh.

(Ciąg dalszy).

Andrzej zamierzał zawsze umieścić ją na pierwszorzędnej pensyi, jak tylko wyrośnie z dzieciństwa; odczuwał też konieczność wyrwania jej z prostaczego otoczenia, w jakiem dotąd żyła. Były to jednak dalekie projekta, które tworzył na przyszłość; dopiero głębokie przywiązanie, jakie powziął do dziecka zrodzonego z miłości, obudziło w nim spóźnione poczucie obowiązku względem starszej córki. Ogarniała go chwilami zabobonna trwoga, aby uchybienia jego w tej mierze nie zostały pomszczone na tej, na którą przeniósł wszystkie swoje ojcowskie uczucia. Czyniąc zadość prawom nieprzyznanej córki, chciał zjednać błogosławieństwo Nieba dla umiłowanego dziecka. To też myśląc o tem maleństwie, które tam zostawił w domu, z nowem zajęciem spoglądał na gromadki bosych i rozczochranych dzieci, pomykające z drogi przed kopytami jego konia, a wstręt graniczący z nienawiścią, jaki w nim budziło wspomnienie ponurej twarzyczki i zagadkowego spojrzenia czarnych oczu Andrei, przeradzał się stopniowo w uczucie wielkiego współczucia i litości dla niej. Pocieszał się nadzieją, że może z czasem dziewczynka wyładnieje i nabędzie wdzięku, który jej zjedna serca ludzkie.

Nie chcąc jej pozbawiać jedynej opiekunki, rozmyślał nad tem, czyby się nie dało kosztem sowitej nagrody zjednać usług Barnesowej i umieścić ich razem w domu jakiej bezdzietnej a wykształconej osoby, jako to żony wiejskiego pastora lub lekarza. Andrea, nabywszy odpowiedniej ogłady, mogłaby spędzać wakacye w jego domu jako towarzyszka i wspólniczka zabaw Ady, a z czasem nawet zająłby w rodzinie stanowisko przybranej córki. Tym sposobem wszystko dałoby się pogodzić, nie naruszając tajemnicy przeszłości.

Zostawiwszy konia w zajeździe, wyszedł pieszo na miasto ulicą, którą samotna błąkała się Renata w ostatni dzień ziemskiej swej pielgrzymki. Zatrzymał się przed wystawą sklepową, obłężoną przez tłum ciekawych dziecików, a wysłuchawszy z uśmiechem ich zachwytów nad wywieszonemi w oknie pajacami i zabawkami, uczynił znaczny zakup tychże i rozdał je uradowanym malcom, wyrzucając sobie w duszy, iż nigdy dotąd nie dał Andrei żadnego podarku. Koniec końców przekonywał się, że wiele stracił, rugując z serca swego to biedne dziecko, któremu takiemi drobnostkami mógł osłodzić ciężką sierocą dolę, jednając sobie wzamian jej przywiązanie. Zaopatrzony obficie w amunicyę wojenną, którą postanowił zdobyć bądźcobądź oporne serce swej pierwszej córki, stanął przed domkiem mistress Barnes, rumieniąc się niemal ze wstydu, że tak nędzną siedzibę obrał za schronienie dla swego dziecka. Jedyne frontowe okienko, zasłonięte firanką z grubego białego muślinu, szczelnie zamknięte było od wnętrza, a pnące się łodygi jerychońskich róż nie przepuszczały do niego przystępu powietrza, ani słońca. Nie było to więc miejsce przyjemne, ani zdrowe. Uliczka była ciasna, atmosfera duszna i przesiąkła kuchennemi wyziewami; brudne i obdarte dzieci walały się po ścieżkach, zalegając gromadnie progi każdego niemal domu; krzykliwy głos kobiety, połajającej w domowej kłótni, rozlegał się nieobyczajnemi wyrazami; ochrypłe tony katarynki wtórowały mu z oddali, całe otoczenie raziło pospolitością i nieładem.

Zapukał po raz drugi do drzwi zamkniętych. Z sąsiedniego domu dolatywał go ciągle krzyk rozzłoszczonej kobiety, któremu towarzyszyło głuche szamotanie i płacz konwulsyjny dziecka. Zimno mu się zrobiło na myśl, że może z jego własną córką obchodzą się w podobny sposób, bo wszakże prości ludzie nie znają innych środków utrzymania karności domowej. Któż wie... może to ona tak płacze? Podniecony do wściekłości tem przypuszczeniem, zaczął tłuc młotkiem w drzwi tak gwałtownie, że wszyscy sąsiedzi zbiegli się do okien, ale nikt nie przyszedł mu otworzyć. Ani jednego dnia dłużej nie zostawi Andrei w tym domu podobnym do więzienia, wśród tych prostaków, którzy tak nielitościwie pastwią się nad dziećmi. Zabierze ją ztąd, wywiezie daleko...

Nareszcie kroki jakieś rozległy się w sionce i przez ostrożnie uchylone drzwi wyjrzała obca twarz kobiety w wytartym szalu, naprędce narzuconym na ramiona.

— Czy zastałem mistress Barnes? — spytał Andrzej.

— Nie ma tu żadnej mistress Barnes — niechętnie odburknęła kobieta, gotując się zamknąć drzwi.

— Przecież to jej dom... numer 37...

— Cóż znowu? To mój dom własny. Proszę mi nie zawracać głowy. Nie mam czasu. Mówiłam raz, że nie ma tu nikogo tego nazwiska.

Drzwi zatrzasnęły się z łoskotem i klucz zgrzytnął w zardzewiałym zamku. Andrzej zakłopotany i gniewny pozostał na ulicy. Kobieta jakaś, która stała w pobliżu nadsłuchując, podeszła do niego.

— Ta nowa właścicielka domu ma niespełna rozumu — rzekła. — Ja wiem, o kogo pan pyta. Mistress Barnes już tu nie mieszka. Umarła na wiosnę.

— Miała przy sobie małą wychowankę...

— Tak; sierotkę, której matka zasypana została przez śnieżną zawieję. Dziecko zniknęło gdzieś bez śladu. Było to jakoś na samym początku choroby Barnesowej. Kobieta była w latach, niedomagała często, mało baczenia dawała na dziecko. Córki też nie zaprzątały niem sobie głowy. Nieraz myślałam, że taki wielki pan, jak jenerał Marlowe, który łożył na tę małą znajdę, mógł ją też powierzyć lepszym rękom. Biedactwo całemi dniami siadywało na tych oto kamiennych schodkach, nie mając do kogo przemówić. To też takie to smutne było i zamyślone jakby nie dziecko. To jedno mogę powiedzieć, że stara utrzymywała ją czysto i nie skąpiła jedzenia. Nieraz częstowałam ją kromką chleba z masłem, a nie chciała brać. Dobrze zrobili, że ją ztąd ukradli, bo takie maleństwo potrzebuje czegoś więcej, niż odzienia i jadła.

— Ale któż ją zabrał? — spytał Andrzej niespokojnie.

— Tego nikt nie może wiedzieć, bo pani Barnes nie zwierzyła się z tem nikomu. Kilka tygodni przeleżała bez zmysłów; córki przyjeżdżały doglądać ją w chorobie, ale żadna nie mówiła, co się stało z dzieckiem. Wszyscy jednak przypuszczają, że to Marlowowie odebrali wychowankę, widząc, że nie ma komu nią się zająć.

Na tem ograniczyły się wiadomości, jakie Andrzej mógł zebrać od sąsiadów. Zapisawszy sobie nazwisko doktora, który leczył Barnesową, i pastora, który ją odwiedzał na łożu śmierci, udał się on do rejenta, za pośrednictwem którego wypłacał miesięcznie nieboszczce umówioną kwotę pieniędzy na koszta utrzymania dziecka i dowiedział się, że od dwóch miesięcy nikt się po nie nie zgłaszał. Zażądał pokwitowań z ubiegłego półrocza. Wszystkie były wydane tym samym charakterem niewyrobionego pisma, choć kwity odnoszone były przez rozmaite osoby, czasem przez dzieci.

— Czy znane panom było pismo pani Barnes? — zapytał Andrzej dependenta.

— Tak, panie. To też nie robiliśmy żadnych trudności w wydawaniu pieniędzy osobom przysłanym przez nią z kwitem.

— Te ostatnie podpisy są sfałszowane. Pani Barnes umarła na wiosnę.

Doktór, do którego Andrzej udał się następnie, poświadczył, iż pacyentka jego miała na opiece małe dziecko, które poleciła usunąć na początku choroby. Córki jej zgodziły się na to i dziecko zostało gdzieś wysłane, ale nie wiadomo dokąd. Zdawało mu się, że to była wnuczka Barnesowej; nie słyszał nigdy o tem, że kobieta, którą znaleziono zamarzniętą pod śniegiem, zostawiła córkę na opiece byłej oberżystki. Syn odwiedzał raz matkę w chorobie, przybył gdzieś z okolic Surruju, ale adres jego nie był mu wiadomy. Jedna z córek była gdzieś w obowiązku, druga wyszła za mąż w Plymouth, czy też w Portsmouth. Doktór nie mógł sobie przypomnieć.

— Ale o co panu chodzi, panie Marlowe? Ludzie, którzy się zaopiekowali dzieckiem, musieli to uczynić z dobrej woli. Nie zbywa więc zapewne sierocie na niczem. Gdybym był wiedział, że pan się nią interesujesz, byłbym niezwłocznie doniósł panu o tem listownie.

Pastor nie wiedział nawet, że dziecko znajdowało się w domu Barnesowej. Kiedy przyszedł udzielić jej ostatnich pociech religijnych, chora utraciła już mowę.

— Andrzeju! drogi mój! co ci jest? czyś nie chory? — zawołała Gracya przestraszona, spiesząc na jego spotkanie.

— Nie, nie — odparł z posępnym błyskiem znużonych oczu, które zetknęły się na chwilę z jej wzrokiem, a potem spuściły się ku ziemi. Nie jestem chory... tylko straciłem małą Andreę.

— Jakto... [illegible]?

— Ale przecież musiałeś ją widzieć od Bożego Narodzenia? — spytała, wysłuchawszy opowiadania jego do końca. — Ilekroć pytałam o nią, upewniałeś mnie zawsze, że zdrowa i że jej na niczem nie zbywa. Sądziłam, że znosisz się ciągle z Barnesową w kwestyi dziecka.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Odpowiedzialny redaktor: Ludwik Masłowski. Papier z fabryki Braci Fijałkowskich w Białej. Z drukarni nar. W. Manieckiego. Zarządca W. Hodak.